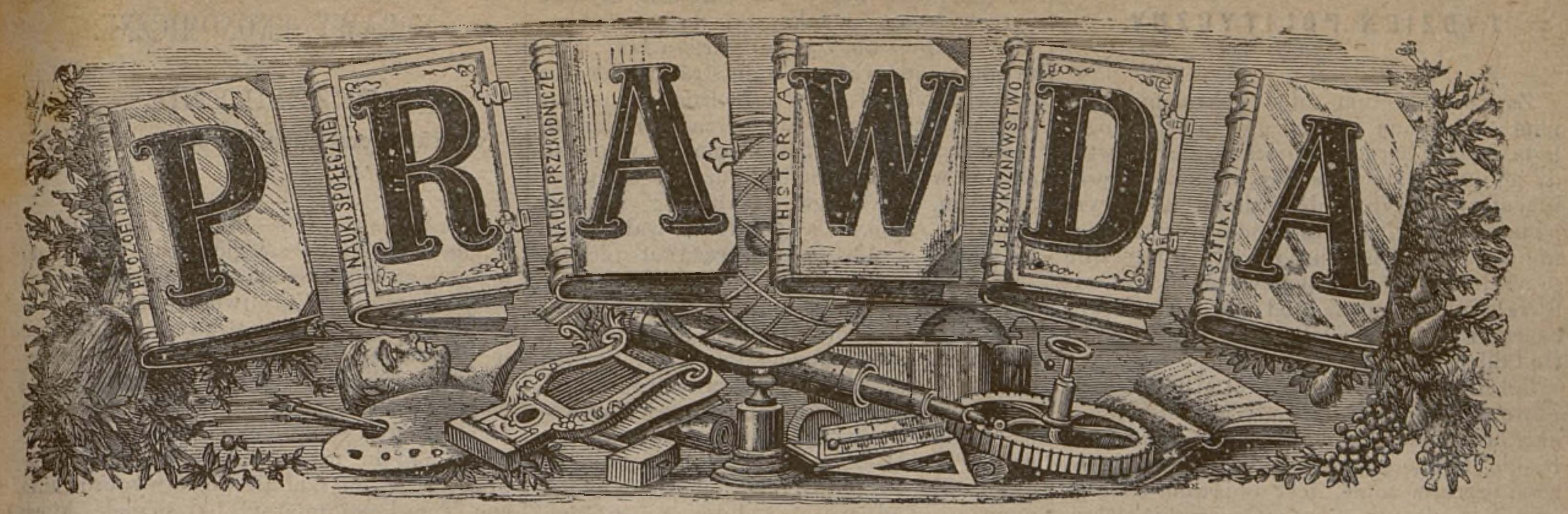
№ 29. Warszawa, dnia 21 (9) Lipca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z TRZECIEGO TUZINA.

Jak słusznie zauważyła jedna z gazet niemieckich, papież rozpoczął już trzeci tuzin swoich okólników, którymi oświeca niepojętne i niepoprawne ludy. Jest to osobnego rodzaju wytrwałość: pisać i pisać rozprawy, przed któremi własna służba głowy schyla, ale których reszta świata albo wcale nie czyta, albo po to, ażeby się litościwie nad autorem uśmiechnąć. Bo dodać trzeba, że Leon XIII nie posiada nawet ognistego temperamentu Piusa IX, jego filozoficzno-religijne ćwiczenia są wodniste, mdłe, nudne, przypominają raczej bakałarza, niż apostoła. Bez znajomości, czy też bez rozumienia swojej epoki, bierze on jeden temat po drugim i stylizuje obszerne rozprawy, w przekonaniu, że z nich padają olśniewające promienie mądrości lub błyskawice, podczas gdy świat widzi w nich tylko świecące próchno. Z kolei dał on narodom lekcyę o swobodzie.

Czytelnik miałby wszelkie prawo oskarżyć nas o targnięcie się na jego zdrowie, gdybyśmy tu przytoczyli całe owo kazanie lukrecyowego smaku. Podamy zatem tylko esencyę. Autor usiłuje scholastycznie wykreślić granicę między wolnością naturalną albo jednostkową a swobodami, wynikającemi z ustroju społeczeństwa. Naturalną jest wolność wyboru. Wymaga ona sądu, ten zaś — rozumu. Rozum powinien dążyć do dobrego. Ale tu poczynają się trudności. Istnieją bowiem dobra zwodne, fałszywe. Człowiek przeto potrzebuje pomocy, która by go strzegła od zabłąkania się na manowce i wybierania zła zamiast dobrego. Pomocą tą jest prawo, które spoczywa na władzy, chodzi jedynie o to, jak ją odnaleźć. Dla papieża jest to bardzo łatwem, gdyż dla niego wszelka władza spoczywa na objawieniu, na ustanowionym przez Boga Kościele. Prawdziwa tedy wolność jest swobodą wyboru dobra i nie może istnieć bez powagi Kościoła, który zarówno jednostkom, jak ludom wskazuje, co jest dobrem.

Oto treść ostatniej encykliki.

Posiada ona tę samą ubezwładniającą moc, co wszystkie wypracowania Leona XIII i wogóle pism tego rodzaju: odrazu wytrąca przeciwnikowi broń z ręki, bo ażeby z nią przeprowadzić spór, trzebaby zacząć od *a, b, c*. Co odrzec na twierdzenie, że pomiędzy niebem a Watykanem zaprowadzony został oddawna telefon, przez który duch św. szepcze do ucha mądrość papieżowi? Jak poradzić sobie z logiką, że Joachim Pecci, zwykły śmiertelnik, który przy innych warunkach mógł był zostać naczelnikiem komory lub stacyi kolejowej i w wolnych chwilach pisać liche wiersze, włożywszy suknię księżą i wreszcie obrany naczelnikiem Kościoła, wraz z urzędem posiadł mądrość przewyższającą rozumy wszystkich ludzi? Jak rozprawić się poważnie z naiwnem mniemaniem, że człowiek, który złożył liczne dowody samolubstwa, niesprawiedliwości, pychy, jest najwyższym i nieomylnym probierzem prawdy i dobra? Tu i Herkules nie podoła. Takie skamieniałości cywilizacyi można tylko wystawiać na pokaz dla unaocznienia stanów, przez które przechodził rozwój myśli ludzkiej, ale niepodobna ich krytykować. Encykliki — to nie pierwiastki powietrza, którem oddychamy, to jego czad i stęchlizna.

Wobec tego i tym podobnych wstecznych spadków cywilizacyi jedno tylko zawsze trzeba zadawać sobie pytanie: czy dużo jeszcze w świecie istnieje ludzi, którzy *szczerze* wierzą w tę malignę myśli? Odpowiedź niemożliwa, gdyż polityka szerokim płaszczem obłudy okryła wyznawców papizmu. Nie tysiące, ale miliony udają wiarę w świętość i nieomylność owych nieświętych a omylnych słów, bo kłamstwa wymaga od nich interes polityczny. Dopóki zaś ten interes w dzisiejszej trudnej walce o byt przemawia wszystkimi językami na swoją obronę, niepodobna nawet przybliżenie obrachować, ilu słuchaczów papieskich się śmieje, a ilu nie. Gdyby nad światem cywilizowanym przestała ciążyć klątwa Hobbesa, gdyby godłem naszego czasu nie było „bellum omnium contra omnes," gdyby dusze, uwolnione od srogich widm i gróźb niebezpieczeństwa, przemówiły szczerze, może wtedy ujrzelibyśmy, że owo panujące nad milionami poddanych potężne władztwo, jest książątewkiem Monaco z garścią wiernych i domem gry dyplomatycznej. Ale dziś, kiedy polityka przeżera mózgi i — jak się wyraził ks. Bismark—psuje charaktery; kiedy nią zgalwanizowane jest całe życie, kiedy jej służą sztuki, nauki, uczucia i myśli, łatwo utrzymać się pozorom, że głos Leona XIII prądem elektrycznym przebiega kulę ziemską wszerz i wzdłuż.

Tym to pozorom składamy ofiarę z uwagi, przywiązywanej do listów i okólników Leona XIII, które same w sobie nie posiadają wartości ćwiczeń piśmiennych pierwszokursowego seminarzysty. Zakryjmy przed najwierniejszym synem Kościoła nazwisko autora obu tuzinów encyklik, a z pewnością nie domyśli się, że jest to głos mędrca, którego ustami mówi duch św. Nasz ks. Krupiński napisałby daleko lepszą rozprawę o wolności, bo wziąłby jakiegoś filozofa angielskiego i streścił go wiernie, w stylu zaś pobożnym może nawet redakcya *Przeglądu katolickiego* zdobyłaby się na lepszą encyklikę.

Trzeci więc tuzin lekcyj, udzielanych światu, nie wykazuje postępu w pisarskiej działalności Leona XIII; wobec zaś wieku autora wątpimy, czy nadzieją rozwoju jego uzdolnień łudzić się można.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zapewne, kłótnia między królem Milanem a jego żoną o syna rozegrać się mogła była jeszcze bardziej gorsząco, ale już wtedy jej uczestnicy wyszliby ze swej wysokiej sfery i zniżyli się do poziomu, na którym panuje bezwzględna swoboda w załatwianiu starć małżeńskich. Bo i tu ostatecznie przyszło do tego, że policya niemiecka odbierała matce księcia śród zbiegowiska ulicznego i wszelkich dekoracyj, służących za tło takiemu aktowi.

Jeżeli jest prawdą, że król Milan steruje nawę swej polityki na wody austro-niemieckie, a królowa popychała ją tajemnie na ruskie, to energiczna pomoc, udzielona mężowi przeciw żonie, jest objawem znaczącym i sięgającym po za waśnie małżeńskie. Czas rozmaicie zmienia zwrotnice w kolei wypadków; ale obliczając ich kierunek drogą zwykłych przewidywań rzec można, że po tem starciu monarcha serbski jeszcze wyraźniej zwróci się ku swym dotychczasowym sprzymierzeńcom i opiekunom, którym zawdzięcza nietylko szybkie zakończenie awantury, nietylko odzyskanie syna, ale nawet wzmocnienie powagi w kraju. Bo wystawmy sobie jego dolę, gdyby zatarg z żoną przeciągnął się na lata, gdyby ona trzymała syna, gdyby żywioły opozycyjne zużytkowały jej pretensye, gdyby wogóle sprawa ta zaczęła gnić i wydzielać miazmaty w samej Serbii. Król Milan niewątpliwie podziękował ks. Bismarkowi za pomoc a prezydentowi policyi wiesbadeńskiej przesłał order, bo go wydobyli z ciężkiego kłopotu.

Jedna z gazet angielskich słusznie zdziwiła się tem, że radykałowie francuzcy wybrali sobie za wodza człowieka, który nie umie mówić. Rzeczywiście, dwa razy występował Boulanger w Izbie i dwa razy odczytał nudne perory, a gdy wywiązała się ostra sprzeczka, „zapomniał języka." Natomiast rzesza idąca za obecnym rządem może się poszczycić takim przytomnym, dowcipnym i zaciętym mówcą, jak Floquet. Popełnimy nawet bluźnierstwo, wyznając szczerze, że jego mowy treściwe, energiczne, trafiające odrazu w rdzeń rzeczy podobają nam się bardziej, niż rozwlekłe, nabierające uroku w deklamacyi i dźwięcznym głosie Gambetty. Ex-generał odegrał znowu nędzną komedyę. Niby wskutek napaści Floqueta, który mu zarzucał szybkie przechodzenie „z zakrystyi do przedpokojów" i niby z obrazy na prezesa Izby, który mu za znieważenie ministra chciał głos odebrać, złożył na posiedzeniu mandat w deklaracyi, którą sobie przedtem napisał. Z codziennych gazet wiadomo, że utarczka słowna w parlamencie skończyła się pojedynkiem, z którego Boulanger wyniósł przebitą szyję. Dla żołnierza, walczącego na szpady z adwokatem, rezultat niezbyt zaszczytny.

Utoczywszy nieco burzliwej krwi Boulangerowi, pojechał Floquet przed pomnik Gambetty i odsłonięcie go uczcił dzielną mową. Obok niego przemawiali inni, ładnie, serdecznie i rozumnie, wzywając wobec cienia wielkiego patryoty wszystkie żywioły republikańskie do zgody i wspólnej pracy. Że to pozostanie pobożnem życzeniem—nikt nie wątpi. Gdyby nawet Gambetta ożył w swym pomniku i zeszedł na pole starć stronniczych we Francyi, nie owładnąłby już tym zamętem, w którym przeważnie egoizmy rej wodzą.

Część doktorów niemieckich, powoływanych do rady nad chorobą zmarłego cesarza niemieckiego, a głównie Gerhardt i Bergmann ogłosili broszurę, w której usiłują dowieść, że Mackenzie jest szarlatanem i nieukiem, że nie poznał się na chorobie, że przekonany oczywistymi dowodami co do istnienia raka, kręcił i paraliżował ich dobre chęci, że gdyby wcześnie dokonano operacyi, Fryderyk III byłby uratowany. Broszura ta oddycha taką zajadłością i podrażnioną miłością własną, że nawet w bezstronnej prasie niemieckiej zbudziła niesmak. Jej autorom, obok innych zrobiono i tę uwagę, że skoro widzieli błędy lekarza angielskiego i wierzyli w skuteczność swoich rad, powinni byli wystąpić wtedy, kiedy one mogły mieć racyę i pożytek, ale nie dziś, kiedy ani ich zastosować, ani sprawdzić ich praktycznej wartości niepodobna. Gdy chory nie żyje, łatwo dowodzić, że inaczej leczony byłby uratowany.

Nie wiadomo jeszcze, czy Mackenzie odpowie. Podobno krępują go jakieś zobowiązania.

Cesarz niemiecki przybył do Peterhofu.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZESILENIE
w krajowem gospodarstwie rolnem.

W okresie 1870—1884 cena gruntów u nas bezustannie się podnosi. Doszło do tego, że za najgorsze ziemie płacono po rubli 50 za mórg. Wątpliwości nie ulega, iż prócz warunków zewnętrznych, tkwiących w ukształtowaniu stosunków na powszechnym rynku zbożowym, przyczyniły się do tego jeszcze inne, miejscowe, pod wpływem których spekulacya wkroczyła w dziedzinę handlu majątkami ziemskimi i doprowadziła do nadmiernego wygórowania cen. Tem boleśniejszym był spadek, który nastąpił od 1885 r. wskutek przewrotu, sprawionego na rynku zbożowym przez ukazanie się współzawodników, producentów amerykańskich. O obecnem położeniu najlepiej nas oświeci kilka przykładów. W 1878 r. majątek Rząsna (gub. piotrkowskiej) nabyto za 110 z górą tysięcy; wystawiony na sprzedaż przez Towarzystwo kredytowe ziemskie w ostatnich czasach, sprzedany został na powtórnej licytacyi zaledwie za 50 — poniżej wartości szacunkowej Towarzystwa. Jeszcze wymowniej świadczą inne fakty. W pierwszej połowie ubiegłego roku majątków zastawionych w Towarzystwach znajdowało się ogółem 8,408; z tej liczby, z powodu niewniesienia raty za pierwsze półrocze, wystawiono na sprzedaż aż 42%! Rozumie się, iż jedynie nieznaczna część dopuści do licytacyi, lecz już samo opóźnienie, prowadzące za sobą 12-procentową karę, niekoniecznie przemawia za pomyślnością. Często zdarza się też, że majątek, wystawiony w ten sposób na sprzedaż, zgoła nie znajduje nabywców. Nie są to oznaki pomyślnego stanu.

Zresztą, takie położenie nie jest jakąś szczególną właściwością naszego kraju, lecz obejmuje i Cesarstwo. Sfery rządzące, od niejakiego czasu zwróciły większą baczność na ten przedmiot. Ministeryum spraw wewnętrznych powołało obecnie, z pośród znawców, specyalną komisyę pod przewodnictwem p. Plewego, któraby zajęła się wyszukaniem środków dla ratowania od ruiny właścicieli ziemskich. Jednocześnie przystąpiono do wypracowania projektu clewa-

3)

Z tajemniczego świata.

IV. Lwy.

Przyczołgałem się do moich ludzi — opowiada Farini — których znalazłem śpiących; obudziłem ich cicho i pokazałem zwierzynę. Ponieważ staliśmy pod wiatrem, postanowiliśmy czekać, aż się zbliży. Ale gdyśmy podziwiali piękne kształty, długie, ostre, rozłożyste rogi i popielatą skórę, wybierając najlepsze ofiary dla naszych strzelb, nagle antylopy stanęły. Musiały nas zwietrzyć lub dostrzedz. Tymczasem w trawie czatował na nie lew, który niespodziewanie skoczył na głowę jednego zwierzęcia. Inne wszakże, zamiast rozbiedz się, utworzyły półkole i wystąpiły do walki z nieprzyjacielem. Trawa była wysoką, dokładnie przeto nic widzieć nie mogliśmy, ale korzystając z zamieszania, podpełzaliśmy bliżej. Zasłonięty krzakiem, powstałem i kazałem dać ognia. Ponieważ słyszałem tylko cztery strzały — moich było sześć — obejrzałem się zdziwiony, czemu ogień ustał: moi towarzysze, nie czekając komendy, zmykali przez zaspę piaszczystą, jak gdyby ich dyabeł ścigał. Jednocześnie spostrzegłem, że konie nasze uciekają. Antylopy zniknęły. Ludzie oddalili się z końmi na kilometr. Wszedłszy na pagórek, zacząłem dawać im znaki, ażeby przysunęli się do mnie, oni zaś kiwali na mnie, ażebym zbliżył się do nich. Trwało to dosyć długo — wreszcie musiałem uledz i poszedłem za nimi. Zziajany, gniewny, dopędziłem wreszcie bastardów (rasa mieszana), zwymyślawszy ich należycie. Tłomaczyli się ucieczką koni luźnie spętanych oraz obawą przed dwoma lwami. Żadne namowy nie zdołały ich skłonić do powrotu: dowodzili mi, że kozła jutro odnajdziemy a lwy zjedzą mu tylko wnętrzności.

— Nie idź pan tam — mówili — lew jest źle usposobiony i będzie walczył. On nie napadłby kozła, gdyby ten nie przerwał mu poobiedniego spoczynku.

Wszystko to puściłem mimo uszu. Odebrałem największemu tchórzowi strzelbę i zsunąłem się ostrożnie w nizinę, badając każdy krzak, każdą kępę trawy, za którą lew mógł się ukryć. Już na dole usłyszałem jakiś szmer za sobą. Odwróciłem się szybko, odrzuciłem jedną fuzyę a drugą przygotowałem do strzału. Nic się nie pokazało. Z niedalekiej wszakże kępy trawy dolatywało mnie rzężenie, i byłbym niewątpliwie strzelił, gdyby w tej chwili nie odezwał się głos:

— To ja, Dirk.

Niepostrzeżenie szedł on za mną, a gdym się nagle odwrócił, upadł w trawę, ażebym go nie postrzelił.

Przed nami ciągnęła się nizka ławica piasku, na drugiej zaś stronie stało niewielkie drzewo, z którego można było objąć dość szeroki widnokrąg. Cisnąwszy garść piasku w powietrze, przekonałem się, że wiatr wieje na nas: musieliśmy więc postępować bardzo ostrożnie, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowaliśmy się blizko zwierza. Usłyszeliśmy odgłosy jak gdyby lekkiego pasowania lub uderzania kopyt o siebie. Niewątpliwie kozioł już nie żył a lew pozostał w zasadzce aż do zmierzchu.

— Nie idź pan — ostrzegał Dirk. Jest to lwica z dziećmi, które bawią się kopytami kozła, a gdy je spłoszysz, rzuci się.

To jeszcze silniej podrażniło moją ciekawość. Skoro byliśmy oddaleni na kilka zaledwie kroków od drzewa, Dirk wysunął się naprzód, położył swoją strzelbę na ziemi i zaczął się wdrapywać śród gęstych zarośli. Teraz — pomyślałem sobie — musisz być na wszystko przygotowanym. Usłyszałem szelest w trawie, jak gdyby zwierz szedł na mnie. Pot wystąpił mi wszystkiemi porami. Ze strzelbą wymierzoną w stronę szmeru czekałem. Daremnie. Dobiegało do mnie zdaleka stękanie, ale żaden ruch nie wskazywał, skąd pochodziło. Przysuną-

torów *) z instytucyą warrantową w miastach portowych i ważniejszych dla handlu zbożowego punktach kolejowych (jeden z najpierwszych ma stanąć na drodze Nadwiślańskiej), w nadziei, że urządzenie to zniweczy tak ciężko łożący się na barki obywatelstwa ziemskiego monopol kupców zbożowych. Tymczasem zaś, zanim elewatory wraz z warrantami wejdą w upowszechnienie, postanowiono wprowadzić zaliczki pieniężne na zastaw zboża wzdłuż linij kolejowych. Mianowicie obywatel, złożywszy zboże na stacyi, może od zarządu drogi, na rachunek Banku państwowego, domagać się wydania pożyczki do 60% wartości zastawu na określony termin (nie większy nad pół roku), po upływie którego, w razie niewykupienia, następuje sprzedaż drogą licytacyi. Krążą w dziennikach pogłoski o wdaniu się władz rządowych w sprawę regulowania taryf kolejowych, swą wysokością zawadzających swobodzie handlu zbożowego; słychać też o zamiarach ulżenia w spłacie powinności stałych gruntowych przez pozwolenie częściowego ich uiszczania, o zniesieniu egzekucyj z powodu dawnych zaległości itd.

Zbyteczna powtarzać, iż krom ogólnego źródła niedomagania w gospodarstwie rolnem mogą istnieć jeszcze inne, miejscowe, pomniejszej wprawdzie wagi, lecz przecież dające czuć swój ciężar. Wykazanie ich jest powinnością prasy. Uczynił to dla Królestwa Polskiego p. Terechow **). Jest to autor o wyraźnie zarysowanej fizyognomii, znany z licznych głosów, zabieranych w publicystyce ruskiej, a raczej pewnej jej części, we względzie naszych spraw ekonomicznych. Jako redaktor *Zapadnoj poczty* jeszcze w 1878 r. dowodził konieczności reorganizacyi byłego Banku polskiego drogą wcielenia go do państwowego; obecnie należy do gorliwszych rzeczników przytarcia rogów przemysłowi sosnowicko-łódzkiemu, z powodu jego konkurencyi z ruskim. Wreszcie tylko co ukazała się jego broszura o przyczynach rolniczego zastoju w Królestwie. Praca ta zasługuje na bliższą uwagę. Można o niej powiedzieć, iż dojrzała drobne „muszki," lecz nie zauważyła słonia, ale właśnie to stanowi całe jej znaczenie. Autorowi chodzi o znalezienie źródeł złego w warunkach wewnętrznych. Wszelkimi sposobami usiłuje dowieść, iż lubo przesilenie rolne ukazało się jednocześnie z epoką polityki ekonomicznej w Niemczech, wszakże ów związek jest jedynie powierzchowny, bez żadnej głębszej spójni. Bezwątpienia jest w tem sporo słuszności. Same cła niemieckie są już skutkiem ogólnie europejskiego zastoju zbożowego i jedynie mają na widoku osłabienie jego wpływów na własność ziemską w Niemczech; co najwyżej, mogły tylko spotęgować fatalne położenie, już u nas istniejące. Lecz autor, wykazawszy niesłuszność tego związku, wnioskuje stąd, że wogóle przyczyn zewnętrznych niema, i zwraca się do szperania w wewnętrznych. Wziął się do drobnych „muszek," a zajęty wyszukiwaniem zwłaszcza jednej, zupełnie zapomniał o prawach rynku międzynarodowego, które przedewszystkiem rozstrzygają o podnoszeniu i spadaniu cen. Źródła zastoju znajduje on w opanowaniu obywatelstwa ziemskiego przez żydów, w nieuregulowaniu służebności, zwłaszcza leśnych, w znacznem obciążeniu własności ziemskiej różnemi stałemi, państwowej i gminnej natury powinnościami, dochodzącemi w przeciętnem aż do 20% dochodu dzierżawnego — lecz o wszystkiem wspomina nawiasowo, lub zaledwie się zaledwie w kilku wierszach. Za to dwie inne przyczyny przykuwają całą jego uwagę. Zdaniem p. Terechowa, jedno z źródeł złego spoczywa w obowiązującej od drugiego półrocza 1884 ustawie stemplowej, wyznaczającej pobieranie 4% z wartości dóbr sprzedawanych. Uciążliwem jest nie samo uiszczanie sumy stemplowej, lecz niepewność, z jakiej wartości ma być ona pobieraną. Mianowicie, dla zapobieżenia możliwym nadużyciom, w Cesarstwie wyznaczono tablice wartościowe ziemi dla różnych okolic i przyjęto je za wartość normalną. W przypadku wyższej ceny sprzedawczej, stempel 4% pobiera się od tej ostatniej; w razie niższej — według wartości normalnej. Lecz w Królestwie nie ma podobnych tablic; musiano więc zwrócić się do innych wskazówek ustawy co do określenia wartości normalnej, wskazówek, wcale niegrzeszących jasnością. Wynika wskutek tego mnóstwo nieporozumień. Gdy Rząsnę sprzedano na licytacyi za 53,000, odnośne instytucye nakazały liczyć stempel od sumy szacunkowej Towarzystwa ziemskiego (55 tys.); w wypadku sprzedaży wsi Sromotki za 22 tysięcy, nakazano obliczać należność stemplową według przedostatniej sprzedaży (51 tys.). P. Terechow przytacza więcej tego rodzaju wypadków z wykazaniem całej ich uciążliwości. Wypowiada on życzenie, iż pożądaną byłaby reforma samej ustawy. Wypadałoby naprzód wyznaczyć stałe zasady dla obliczenia wartości normalnej (albo przez zredagowanie odpowiednich dla Królestwa tablic wartościowych albo przez mnożenie powinności gruntowych przez 120) i według niej pobierać stempel, gdyby cena sprzedawcza z wolnej ręki okazała się niższą, lecz w wypadku licytacyi ostemplowanie odbywałoby się stosownie do sumy najwyżej zalicytowanej.

Drugie ważne źródło przesilenia własności ziemskiej w Królestwie autor spostrzega w Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem. Sądzimy nawet, iż broszura poniekąd z tego powodu świat ujrzała. Jego zdaniem, jest to instytucya na wskroś przestarzała, oparta na rutynie i formalistyce, domagająca się gwałtownie reorganizacyi, jakiej doczekał się już b. Bank Polski; kwestya, którą autor ma się zająć szczegółowiej w innej, obszerniejszej pracy. Zresztą należy przyznać słuszność krytykowi, iż umiał uderzyć w najsłabsze strony Towarzystwa. Mianowicie z całym naciskiem podnosi bezużyteczność zakazu parcelowania zastawionych w tej instytucyi majątków ziemskich; niepodobna go bowiem pod względem finansowym usprawiedliwić w żaden sposób, ile że mniejszy posiadacz ziemski w opłacie powinności bywa zwykle sumienniejszym, aniżeli wielki. Inne zarzuty niekoniecznie są slusznymi. Być może, w wymaganiu różnych planów, zjazdach delegackich itd. tkwi sporo formalizmu i nadmiernych kosztów, lecz z drugiej strony instytucya zawdzięcza im wiele z tego zaufania, jakie posiada u wierzycieli. Również to samo można powiedzieć o zarzucie samowoli ze strony Dyrekcyi głównej względem Szczegółowych. Bezwarunkowo, tu i owdzie może to dać powód do nadużyć i prywaty, lecz nie tak daleko, jak sądzi krytyk. Nawet przykłady, które przytacza

*) Są to składy, przyjmujące, do czasu dowolnego, na przechowanie zboże. Zostaje ono troskliwie ocenione co do jakości i wcielone do innych ilości tego samego gatunku. Składający otrzymuje dowód, ile złożył jakiego gatunku, czyli t. z. warrant, który może sprzedawać, zastawiać itd. Innemi słowy, elewatory są bankami depozytowymi dla zboża, a wydawane świadectwa funkcyonują jako swego rodzaju pieniądze.

**) M. E. Terechow: *Zemledjelczeskij krizis w Prywisljanskom kraje.* Warszawa, 1888.

łem się ku drzewu i podałem Dirkowi strzelbę. Nachylił się do mnie i szepnął: *lееuw*. Wlazłem sam na drzewo. Z góry ujrzałem o 20 kroków lwa, zwróconego ku mnie grzbietem i widocznie pijącego krew z szyi kozła, którego nogi konwulsyjnie drgały; pod tylną częścią lwa leżał drugi kozioł, również konający, tuż trzeci, nieżywy, ale nietknięty. Lew był zatem tylko jeden. Wymierzywszy uważnie w tył jego głowy, strzeliłem dwukrotnie. Lew pozostał w tem samem położeniu. Niepodobna, ażebym chybił i ażeby zwierz, zajęty żłopaniem krwi, lekceważył moje kule. Strzeliłem po raz trzeci. Znowu się nie ruszył, tylko dogorywający kozioł drgał jeszcze. Czym chybił, czy też pierwsza kula lwa zabiła?

— Nie wiem — odrzekł Dirk.

Zostawiwszy go na drzewie, zsunąłem się i poszedłem ostrożnie do lwa ze strzelbą na pogotowiu. Wystawcie sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem końce rogów jednego kozła wystające z ramienia i szyi lwa, a drugiego—z jego tyłu. Naturalnie był martwy. Ujęwszy za grzywę, próbowałem go odciągnąć, ale nie mogłem; zawołałem więc na Dirka, który widząc, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, przybiegł natychmiast. Dobiwszy kozła, zaczęliśmy zbite zwierzęta rozdzierać. Nie było to wszakże łatwem. Nie mogliśmy ani ciężkiego lwa zsunąć z rogów, ani kozła z pod niego wydobyć. Dirk radził porąbać lwa, ale przez to popsulibyśmy jego skórę. Odesłałem go więc po konie, sam zaś ułożyłem sobie plan następujący: obłuszczę ze skóry tylną część lwa i odłączę ją; potem usunę trzewa, ściągnę skórę wzdłuż brzucha aż do nóg przednich, te obedrę i oddzielę. Przy tej robocie przekonałem się, iż jeden róg kozła przebił nawskroś serce, tak że lew skończył natychmiast, rozdarłszy przedtem gardło swej zdobyczy.

O innem spotkaniu ze lwem opowiada tenże podróżnik:

Siedzieliśmy wieczorem około ognia, słuchając opowieści myśliwskich Dirka, gdy nagle coś spadło między nas i obrzuciło wszystkich piaskiem, popiołem i ogniem. Klaas, który właśnie nachylił się dla zapalenia fajki, krzyknął: „lew mnie kąsa!", ale w tej chwili głos jego zagłuszyło dzikie mruczenie, które nas objaśniło, że istotnie lew znajduje się między nami. Przy słabem świetle ogniska dostrzegłem go leżącego, uderzającego ogonem po mojej twarzy i widocznie coś trzymającego pod sobą. Wystająca noga ludzka przekonała mnie, że zwierz przygniótł Klaasa. Nie było chwili do stracenia. Błysła mi w głowie myśl, że lew boi się ognia, porwałem więc z popiołu garść rozżarzonych węgli i rzuciłem na niego. Puścił Klaasa, skoczył naprzód, chwycił za kark wołu i powalił go na ziemię. Tymczasem buszmani, złapawszy fuzye, zaczęli strzelać, na co wszakże lew nie zwracał żadnej uwagi. Dopiero Lulu, siedzący na wozie, wpakował mu kulę w oko i położył trupem.

* * *

Jechaliśmy za tropami lekkim kłusem— pisze Farini — nic nie mówiąc. Ślady były coraz świeższe, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie żyrafy widocznie nocowały. Cornet zeskoczył z konia, wziął w rękę garść ziemi i rzekł:

— Ciepła — jesteśmy blizko — uważajcie bacznie.

Wsiadł na konia, ale wkrótce zawołał:

— Galopem! Usłyszały nas albo zwietrzyły.

Popędziliśmy w gęstwinę, nie zważając na ciernie, które nam darły ubrania. Jan frunie — konia jego nie widać. Śpieszymy, bo smagłe, płowe zwierzę pędzi zygzakowato pod górę. Klacz moja, zapadłszy w norę, utknęła, ale zerwała się prędko, nie wysadziwszy mnie i biegła dalej. Dostawszy się na wierzch wyżyny, ujrzeliśmy nieco na prawo o 100 kroków długoszyją piękność z głową po nad drzewami.

— Nie strzelajcie — krzyknął Cornet — trzeba ją objechać, ażeby się zwróciła.

Sądził on, że zwierzę samo poniesie swe ciało do wozów i oszczędzi nam trudu. Żyrafa jednak pomimo zabiegania jej drogi

p. T., nie przemawiają za nim. A jednakże autor nie cofa się nawet przed insynuacyami. Z powodu zakazu parcelowania dóbr zastawionych, zauważa, iż większy właściciel częściej chybia w opłatach, i, napomknąwszy, że za każde opóźnienie czeka go 12%-owa kara, rzuca wniosek, iż może dla pobierania właśnie tej kary Towarzystwo nie chce parcelowania majątków w pośród wypłacalnych dłużników...

Oto są główne i zarazem jedyne przyczyny rolniczego przesilenia u nas w pojęciu publicysty ruskiego. Bezwątpienia, niejasność ustawy może dużo sprawić przykrości, formalizm Towarzystwa sprowadzać wiele niepotrzebnych wydatków, zbyt długo zmuszać do czekania na kredyt i czynić go droższym niż się wydaje; powinności gruntowe, zawikłania służebnościowe również są w stanie dać się we znaki. Lecz okoliczność, że wszystkie wyliczone przyczyny z wyjątkiem pierwszej istniały już w okresie 1870—1884 daje do myślenia, iż p. T. nie dotarł do jądra rzeczy. Oczywiście, że i zalecane środki wraz z całą reorganizacyą Towarzystwa nie doprowadzą do celu — do przywrócenia dawnego stanu. Nad wszystkiem bowiem góruje jedna przyczyna: oto wywóz zboża za granicę wciąż się zwiększa, lecz przy cenach, okazujących dążność do zniżki. Jest to fakt natury zewnętrznej, spoczywający w ukształtowaniu stosunków na międzynarodowym rynku zbożowym i przeciw któremu są bezsilne wszelkie reformy wewnętrzne. Wie o tem dobrze powołana przez ministeryum spraw wewnętrznych komisya dla obradowania nad środkami polepszenia bytu obywatelstwa ziemskiego, gdyż w wyliczeniu przyczyn złego na pierwszem miejscu postawiła upadek cen zboża wskutek konkurencyi amerykańskiej, australskiej i indyjskiej, wobec czego środki państwowe są bezsilne. Państwo może przez przeprowadzenie i ułatwienie środków komunikacyjnych obywatelstwu ziemskiemu dopomódz do oszczędzenia pewnej części renty, wydawanej na przewóz; przez organizacyę krajowego handlu zbożowego wyrwać je z pod monopolu kupców; przez otwarcie tańszego kredytu, zmniejszenie podatków i ceł na wwożone narzędzia i maszyny rolnicze zmniejszyć koszta prowadzenia, lecz w żaden sposób nie zdoła podnieść cen i usunąć wynikającego stąd niedomagania. O tem należy nie zapominać przy czytaniu rozpraw w rodzaju p. T., któremu zresztą, być może, więcej chodzi o zgładzenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, niż o wyszukanie faktycznych źródeł przesilenia. Zauważymy, że obecne ukształtowanie stosunków na międzynarodowym rynku zbożowym przedewszystkiem zagraża wielkiej własności ziemskiej. Gospodarstwo chłopskie od wytworów własnych wymaga zwrotu kosztów produkcyi, opłacenia włożonej pracy i podatków; przy zadośćuczynieniu tym warunkom istnieć może ono pomyślnie. Lecz własność wielka wymaga jeszcze renty, i właśnie ta ostatnia jest zagrożona w obecnem niedomaganiu. Teraźniejsze przesilenie rolnicze jest głównie przesileniem renty, stanowiącej podstawę wielkiej produkcyi rolnej. Sądzimy, że warto w kilku słowach wskazać prawdopodobną i w każdym razie najlepszą perspektywę na przyszłość dla wielkiej własności. Nadzieje, iż amerykanie niebawem wyjałowią grunta swą wyuzdaną gospodarką, są płonne, gdyż przy najbardziej barbarzyńskiej eksploatacyi starczy tam sił rodzajnych na kilka pokoleń ludzkich. Lecz za to mamy w Ameryce inne zjawisko. Wobec spadku cen zbożowych yankesi przestają uprawiać obszerne grunta na Zachodzie, wówczas gdy u nas czegoś podobnego trudno dojrzeć na wielką skalę. Takie postępowanie praktykują od lat kilku. Wskutek zmniejszenia terytoryów uprawnych, z każdym rokiem mniej pojawiać się będzie zboża amerykańskiego na rynku europejskim, i ceny muszą wzrastać, dopóki znów nie dojdą do wysokości, zachęcającej yankesów do wzięcia się do rolnictwa. To znów sprowadzi spadek cen, przesilenie itd. Innemi słowy, produkcya rolna wkroczyła na drogę, po której oddawna idzie przemysł przerabiający—peryodycznych epok ożywienia i zastoju. I oto w chwilach zmniejszania produkcyi zbożowej w Ameryce widnieje dla europejskiej własności ziemskiej, nie tak podatnej do kurczenia się, możliwość lepszego biegu interesów, ustająca, gdy za morzem znów wezmą się do rozszerzenia produkcyi rolnej. Jest to najlepsza perspektywa, która zresztą może zawieść, jeżeli prócz Ameryki wystąpią inni jeszcze współzawodnicy zamorscy.

L.

BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Filograf. *Teoretyczna poprawa grafiki polskiej* oraz praktyczne rozwiązanie niektórych trudności naszej ortografii. Warszawa, 1888 r.

O ile zadaniem pisowni (ortografii) jest przedstawienie dźwięków, o tyle grafiki — znaków dźwiękowych, czyli liter. Jedna z drugą w ścisłym zostaje związku. Dlatego też chcąc rozwinąć i uprawidlowić ortografię, niepodobna nam pominąć zmysłowych jej obrazów, czyli liter.

Przodkowie nasi słowiańscy, przejąwszy od zachodu kulturę, między innemi dobrodziejstwami uspołecznienia otrzymali w darze pismo łacińskie, które w prostocie swojej do dźwięków języka ojczystego zastosowali, nie umiejąc z początku radzić sobie z tym nowym nabytkiem. W pomnikach językowych widzimy niemowlęcą wieków średnich niepewność i chwiejność. Pisarz najczęściej cudzoziemiec, albo też w łacinie kuchennej wyćwiczony krajowiec, jedną literą nietylko parę, ale i kilka oznaczał dźwięków. Naśladowano wzory, znajdujące się w rękopisach średniowiecznej łaciny, niemczyzny, a poniekąd, czeszczyzny. Z pomiędzy plejady grafistów polskich, jak: Jakób Parkosz z Żorawicy (1440 r.), ks. Stanisław Zaborowski i innych, szczególnem lubo niezasłużonem cieszył się powodzeniem Jan Seklucyan (1551 r.), którego grafika, okrom małych wyjątków, stała się prawem, obowiązującem wszystkie pokolenia aż do dnia dzisiejszego, uświęconem powagą deputacyi Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, acz w bieżącym wieku Mroziński, Łazowski, Stecki, Zagórowski i ks. Fr. Malinowski napróżno kusili się o wykorzenienie zadawnionego ślepych i bezmyślnych naśladowców nałogu. Boć nie wartość rzeczy, prawda jasna jak słońce i istotna pomysłu praktyczność, lecz przesąd, mający za sobą tradycyę przeszłości, powszechnego zwykł u nas doznawać uznania.

Filograf, który, bądź co bądź, ożywiony miłością języka, zauważył, iż ustalenie pisowni opierać się jeno powinno na poprawnej grafice, w skromnem dziełku swojem, poruszył niektóre jej znamiona, ciążące

---

nie zmieniała kierunku. Konie nasze traciły oddech, podczas gdy ona nie zdradzała żadnego zmęczenia.

— Nie zawróci się — wrzasnął Dirk — musimy strzelać lub zaprzestać pogoni.

W tej chwili Cornet, który jechał równolegle z żyrafą, zeskoczył na ziemię i strzelił; ja za nim; przerażone zwierzę uciekało dalej, ale krótko. Nagle stanęła, grzebnęła kopytami i zaczęła wywijać swą długą szyją. Wtedy strzały huknęły gęsto; po każdej kuli tupała coraz rozpaczliwiej. Zszedłem z konia, ażeby ją obejrzeć bliżej. Boleśnie patrzyły jej oczy, jak gdyby pytały: „I cóż ja wam złego zrobiłam?“

— Czemu jej nie dobijecie? — rzekłem do Corneta.

Ten zamiast odpowiedzi, wziął mnie pod rękę i krzyknął do innych:

— Uważajcie, uderzy was!

Rzeczywiście wyciągnęła wężową szyję, zatoczyła nią kilka olbrzymich kręgów, rzuciła się w szalonych podskokach, czyniąc rozpaczliwe wysiłki utrzymania się na nogach. Odskoczyliśmy w porę... ale zwierzę padło na ziemię z taką mocą, że aż ziemia zadrżała. Była ona długa 494 c. m. (około 15 stóp), a wysoka 337 (11); język 38 cm. Mogła ona nim zbierać pokarm na drzewach z wysokości 6—7 m. (21 stóp).

— Ile waży? — spytałem.

— Nie wiem — odrzekł Jan — nie znamy się na tem. Po roećwiertowaniu trzeba czterech ludzi do dźwigania jej ud tylnych, a dwu ledwie podniesie każde w górę dla odarcia skóry. W każdym razie będziemy mieli dużo z nią do roboty.

Buszmani nazbierali chrustu i pokryli nim żyrafę; musieliśmy bowiem jechać po wozy. Wkrótce nie było jej widać; na wierzchu przyczepiono kawałek papieru dla odstraszenia lwów i sępów, naokoło zaś posypano prochu przeciw szakalom, które podobno go nie znoszą.

— Hej! — zawołał Cornet do buszmanów, zajętych przy ogniu — czy mięso gotowe?

— Gotowe!

— To dajcie panu, niech skosztuje żyrafy.

Podano mi kawałek wątroby z żółtawym tłuszczem, którego woń podobną była do woni samego zwierzęcia. Ponieważ jednak byłem głodny, połknąłem jedno i drugie.

— Jak panu smakowało? — zapytał Dirk.

— Wątroba bardzo dobra.

— Wątroba — odrzekł — nie warta jedzenia, za miękka. Kiszka — to przysmak! My ją lubimy najbardziej z każdej zwierzyny, zawsze ją naprzód pieczemy i jemy.

— A cóż to było?

— Ostatnia (odbytnica). Nie uprzedziliśmy pana o tem, bo wielu białych nie chce jej jeść, gdy naprzód wiedzą. Chcieliśmy, żebyś pan skosztował.

— Ale jakżeście ją oczyścili? Tu przecie niema wody...

— Ktoby ją płukał! Poprostu wywracamy drugą stroną i wyrzucamy jej zawarcie, potem rzucamy na węgiel i pieczę się królewskie jedzenie. Sądzę, że pan nie weźmie nam za złe, wiedząc, co spożył.

— Trzeba jechać — zawołał Jan. Musimy dostać się do obozu przed zmierzchem, bo tu jest dużo lwów.

Dirk przyprowadził mi konia, ale biedne zwierzę ze spuszczoną głową wyglądało tak smutnie, że zmarniałoby zupełnie, zmuszone mnie powieść 30 kilometrów. Rzekłem więc do Jana:

— Zaprowadźcie klacz do wozów, ja tu zaczekam na was. Niebezpieczeństwo żadne mi nie grozi, gdyż noc spędzę na tem grubem drzewie. Ma ono dość mocne gałęzie — przesiedzę na niem wygodnie.

— Nie, nie, tu pan nie zostaniesz. Tego jeszcze nie bywało, zawsze powracamy do wozów. Może się coś zdarzyć, możesz pan zasnąć i spaść, zresztą po drodze musimy śledzić tropy na następne polowanie.

— Janie, słyszałeś, co powiedziałem, inni słyszeli także, jesteście więc wolni od wszelkiej odpowiedzialności. Drzewo da mi

w piśmie naszem przestarzałą nielogicznością, przyprawiającą nas o stratę czasu i papieru. Autor, nie roszcząc sobie prawa do sławy reformatora, w skromnem mniemaniu o swojem posłannictwie, rozprawą niniejszą, której nadał charakter tymczasowości, wywołać zamierza poważną wśród miłośników języka dyskusyę.

Podzielając w zupełności myśli autora, radzibyśmy byli, gdyby pomysły jego przyoblec się mogły w szatę rzeczywistości; dlatego uwagi nasze zmierzają właśnie do prostowania ścieżek, któreby życzeniom Filografa szersze rozwarły wrota.

Owóż *słowo*, aby się stało *ciałem*, musi się z założenia swojego liczyć z trudnościami praktycznemi, do jakich należy niedostatek w kasztach drukarskich, tudzież trudność sprowadzenia z zagranicy i odlania na miejscu czcionek, projektowanych przez pochłoniętych teoryą grafistów, dla których wśród czterech ścian gabinetu naukowego nie masz przedsięwzięć, pozbawionych warunków życia, lubo ono prawie zawsze zostaje w sprzeczności ze światem myśli.

Zamiast liter złożonych, jak *sz*, *cz*, autor bierze z czeszczyzny znaki pojedyncze *s*, *c* z odwróconym cyrkumfleksem i dla konsekwencyi, odrzuca kropkę z nad litery *ż*, opatrując ją nadmienionym znakiem. Lubo z zasady uznajemy słuszność rozumowań Filografa, wszakże z przytoczonych już wyżej względów praktycznych, mając na pamięci gotowe w drukarniach czcionki, zauważymy, ażaliby cyrkumfleksu nie można było zastąpić kropką, jak np. nad literą *ż*. Zamiast *r* z odwróconym cyrkumfleksem na wyrażenie *rz*, sądzimy, że istniejące w grafice naszej *z* przekreślone w środku doskonale zastąpi nam czeską czcionkę i wyróżni się w ten sposób od szumnego *ż*. Dwójka *ch* zastąpioną być może literą *x*, używaną już w pracach naukowych niektórych lingwistów naszych; gdyż Filografa *h* przecięte w połowie linią poziomą ma do pokonania pewne trudności nałogu. Do tego rodzaju należą monogramy, przedstawiające odwrócone *d* + *z* a mające wyrażać *dż*, *dź*, *dz*. Osobny monogram na *l* jest zgoła zbutecznym. Jeżeli istniejące *ą* nie wyraża dostatecznie *a* tudzież *o* nosowego, nie zastąpi go *o* z ogonkiem, bo w takim razie należałoby, uwzględniając przeszłość języka i niektóre prowincyonalizmy polskie, tudzież stosunek mowy naszej do narzeczy pobratymczych, ustanowić nowe litery *u* oraz *i* z ogonkiem, a nawet rozmaite odmiany *ą*, *ę*, uważając je w stosunku do języka starosłowiańskiego. Usunięcie więc *ą* i zastąpienie go literą *o* z ogonkiem w niczem fonetyczności grafiki naszej nie zmieni. O pisowni Filografa *bjały*, *bjorę*, pisaliśmy już w łamach niniejszego organu *).

Co do części historycznej, to nadmieniamy, że alfabet łaciński nie jest podstawą skryptologii wszystkich ludów zachodnich, gdyż pismo gockie, istniejące w ewangelii Wulfilasa (350 r.), opiera się, jako kiryliczne, głagoliczne i koptyckie, na porządku abecadła greckiego.

Kończąc niniejszy artykulik, zwracamy uwagę, że litera *ę* nie jest specyalnie polską; albowiem istniała ona w dawnych rękopisach łacińskich i znaczała dwugłos *ae*. Litery tej w powyższem znaczeniu używa Lachman w swoich pomnikach języka staroniemieckiego.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

S. Wierzbicki, *Hanka*, powieść podolska. Warszawa, 1888.

Dla nieruchawego John Bulla, całe lato łowiącego w jeziorze olbrzymią wędą mikroskopijne płotki, nie jest taką niespodzianką funtowy karp, jak dla polskiego krytyka poemat rymowany, rozciągnięty na dwieście stronic. Gruba to ryba i w epoce używania poezyi, na równi z odpowiedziami „od redakcyi,“ do zatykania dziur w numerach dzienników — niezmiernie rzadka. Pan Wierzbicki, wjeżdżający do literatury naszej na ogromnej swej epopei, wygląda jak cyklop lub też jaki wielkolud z legendy.

Dziś jednak żyjemy w erze „liliputów“; wielkoludy już nie zadziwiają zwyczajnie, ale straszą; naród ucieka od nich zabobonnym lękiem i oto przyczyna, dla której autor *Hanki* daremnie czeka na jakiekolwiek zbiegowisko. Nikt nań uwagi nie zwrócił, nikt nie raczył przypatrzeć się i słówkiem o tym dziwotworze napomknąć.

A może nawet ten i ów wziął książkę do rąk z najlepszą intencyą, ale się nią znudził i w niepamięć puścił? W takim razie wina spadałaby na samego poetę. Nie tłomaczyłaby ona całkiem powszechnego milczenia, ale byłaby dla krytyki okolicznością łagodzącą.

Zawczasu wyznajmy, że przypuszczenie to ma niestety za sobą wszystkie pozory pewności. Treść *Hanki* jest zanadto długa i uboga, ażeby rozsnuta na dziewięć długich rozdziałów, wszędzie była jednako zajmującą i na kilkanaście godzin przykuć mogła cierpliwego choćby czytelnika.

Hanka, to chłopka podolska i jej to miłości nieszczęśliwe dzieje opiewa p. Wierzbicki. Pokochała gorąco dziarskiego junaka, syna zamożnej rodziny gospodarskiej, choć sama była córką rozpijaczonego i zgnuśniałego Hrycia, a za całe wiano miała poczciwą duszę i śliczne liczko, budzące nienawiść i zazdrość we wszystkich wiejskich dziewuchach. Stąd zwykły dramat waśni między buńczucznym i ambitnym dla swego bogactwa ojcem a hardym i niepohamowanym w sercowych swych afektach synem. Stąd tragedya walki zawziętej dwóch gniazd, w której silniejsze jest zarazem podlejszem i nie cofa się przed żadną intrygą i podstępem, ażeby tylko nie dopuścić pomieszania krwi ciała opasłego z krwią ciała spracowanego. Przemyślności do tego szczególnej nie trzeba; wystarcza obecność karczmy tradycyjnej z tradycyjnym Szlomą i jego bałabostą a butny włościanin spać może spokojny, że za kilkanaście karbowańców pod stopami niepożądanej oblubienicy syna rozewrze się przepaść lub rozście le matnia, z której jej żadna nie wydobędzie siła. Tak się też stało. Groźbami i prześladowaniem zmuszono Hankę do opuszczenia rodzinnego sioła, zatruwszy przedtem do reszty ojca jej siwuchą, ażeby odjąć sierocie i ten cień opieki; spotwarzono ją przed ukochanym Iwanem, rozpalono w sercu jego żądzę zemsty i ożeniono z Nastią, dziewoją dorodną, ale i bogatą zarazem. Zdradzona Hanka, którą wszyscy już mieli za topielicę, niby mara zjawiła się na godach weselnych swej rywalki i zmąciła spokój i zabawę. Przerwała skoczne tany, a rozniecіwszy w oszukanym przez rodziców i swatów kochanku przytłumiony zaledwie żar miłosny— rzuciła go na łoże bole-

*) *Prawda*, nr 5.

dobry nocleg. Koń jest zmęczony, a ptaki i inne zwierzęta zapewne będą chciały wyprawić tu sobie ucztę, będę więc miał sposobność obserwować je i kilka okazów zabić. Lwów się nie boję. Livingstone i inni podróżnicy spędzali noce w gorszych jeszcze warunkach. Odjeżdżajcie więc i przysyłajcie wozy.

Przywiązawszy strzelbę do długiego rzemienia, a drugi jego koniec obwinąwszy koło ręki, wdrapałem się jak niedźwiedź po pniu drzewa, usiadłem na grubej jego gałęzi, plecy oparłem na drugiej, a nogi na trzeciej. Następnie wciągnąłem strzelbę, a drugim rzemieniem przymocowałem się do gałęzi. Nie potrzebowałem się obawiać żadnego zwierza, chyba lamparta, który tu bywa dość rzadkim. Tak siedząc, spostrzegłem w górze plamkę nie większą od muchy; zwolna ukazały się inne, wreszcie całe stado. W miarę zbliżania się rosły, nakonice rozpoznałem, że były to sępy. Niektóre spadły nagle i usiadły o sto kroków na drzewie. Z wysokości dojrzały upolowaną żyrafę. Po kilkuminutowej obserwacyi sfrunęły i zaczęły rozrzucać kupę chrustu, z łoskotem uderzając ciężkimi dziobami, bez uwagi na papier, który miał ich odstraszyć. Wkrótce obnażyły znacznie głowę żyrafy. Jeden odważniejszy od innych wsadził głowę pod gałęzie i wyciągnął ją z dziobem pełnym trzewi, do których przyskoczył drugi, za nim reszta i wszystkie zaczęły rozciągać długie pasy wnętrzności, walcząc przytem z sobą o smaczniejsze kąski. Dopóki poprzestawały na trzewach, patrzyłem spokojnie; ale przywódca zabrał się do głowy. Haczykowatym dziobem odciągnął kilka gałęzi i jął wydłubywać oczy. Tego było zanadto. Jeżeli głowa żyrafy miała jechać ze mną do Londynu, musiałem okazać do niej moje prawa i ostrzedz przywódcę, że targnął się na moją własność. Ponieważ zaś osądziłem, że on najlepiej zrozumie mowę strzelby, jako głośniejszą i przenikliwszą od mojej, posłałem mu ołowiane oświadczenie. Przekonało ono go tak stanowczo, że upadł, a jego towarzysze znikli bez żadnej do mnie pretensyi. Takiego głosu nigdy dotąd nie słyszały; przerażone nim, zostawiły swego wodza, nie zapytawszy nawet, co mu się stało. Wobec tego musiałem sam pospieszyć mu z pomocą i zbadać, dlaczego omdlał. Zsunąwszy się, znalazłem go martwym. Ująłem go za skrzydło i podniosłem. Co za potwór! Po rozpostarciu skrzydła jego przez grzbiet miały 3,20 m. (około 5 łokci).

Przykryłem znowu żyrafę i wlazłem na drzewo, wciągnąłem za sobą strzelbę i sępa, któremu, korzystając z resztki dnia, zdarłem skórę.

Gdy zmierzch zapadł, wysunęły się szakale, które widocznie szły za nami, i zaczęły wydzierać sobie kawałki żyrafy, pozostawione przez sępy. Nie zadowoliło to ich wszakże i zaczęły odrzucać chróst. Już chciałem strzelić dla spłoszenia ich, gdy usłyszałem szczekanie, a raczej wycie. Był to śmiech pręgowanych hyen, opatrzonych tak mocnemi szczękami, że każdą kość miażdżą. Są to takie żarłoki, że gdy jedna z nich zostanie zraniona, inne żywcem ją zjadają. Szakale odpowiedziały im złośliwem mruczeniem, a gdy to nie pomogło, odeszły na bok i zatrzymały się, gardząc wspólnictwem w uczcie z takimi podłymi przybyszami. Księżyc świecił jasno, a ponieważ była już wielka pora do interwencyi, dla położenia kresu dalszej niezgodzie, wyrzuciłem z mojej trąby dobitne i przekonywające, metalowe słowo. Jedna z hyen zawyła i z towarzyszkami uciekła w trawę; za niemi pospieszyły szakale, tak przerażone, że powróciły dopiero o świcie.

Reszta nocy upłynęła w milczeniu i spokoju. Siedziałem na gałęzi i wpatrywałem się w sierp księżyca, zawieszony na ciemnem niebie, liczyłem przesuwające się gwiazdy, wreszcie ukołysany ciszą, zasnąłem. Dusza moja wzleciała do krainy marzeń. Śniło mi się, że frunę przez powietrze, że mię unosi olbrzymi sęp coraz wyżej, aż w krainę gwiazd. Nagle upuścił mnie ze swych szpon, a ja omdlały spadam na ziemię i uderzam o drzewo... Obudziłem się... Spotkałoby mnie to rzeczywiście, gdybym nie był przywiązany do gałęzi. Dzięki temu upadł tylko sęp.

ści, a sama na wieczną tułaczkę poszła w świat szeroki.

Wątek ten prosty i naturalny uzupełniają jeszcze dwie postacie, nieodłączne od wiejskiego kolorytu: stara czarownica Horpyna i ekonom Śniczko, paniczyk urodziwy i bardzo rozłakomiony na apetyczne wdzięki Hanki. Całą powieść przeplatają jego amory siarczyste, które dziewczyna zwycięzko wraz z podarkami odtrąca i bardzo często ośmiesza. Horpyna i Szloma pełnią funkcyę kuplerów, ale cały ich spryt rozbił się o kamienną cnotę chłopki i zamiast worków zboża dostali od fircyka kije.

Niema co ukrywać, że w samej tej osnowie motywów świeżych prawie zupełnie brak. Szereg wywoływanych przez nią przypomnień i podobizn rozpoczyna się już na pierwszej karcie, dzięki nagłówkowi „powieść podolska.“ Widać zeń zarazem, iż poeta świadom był tego i pewnie umyślnie chciał w pamięci czytelnika wywołać „powieść ukraińską,“ tj. *Maryę* Malczeskiego. Piękna to byłaby rzecz — upoetyzować Podole, wznióślszy się nad nie „lotem sokolim i jego życiem zająć,“ jak opromienił blaskiem smętnej poezyi ziemię molojców melancholijny śpiewak byronizmu, lub jak wsławił ojczyznę swą Mickiewicz w *Grażynie*, którą nazwał „powieścią litewską.“ Ale poeta nasz nie zdobył się na kompozycyę oryginalną, własną i odrębną, któraby godnie stanąć mogła w tym cyklu kresowych poematów. Co krok spotykasz dźwięki znajome. Zostajesz pod wrażeniem, jak gdyby ponurą srogość starego Potockiego, ojca Wacławowego przeniesiono pod grubą skórę dzikiego Makara, a anielską męczennicę Komorowską, która miała nieszczęście podobać się magnackiej latorośli — przebrano w gorsecik i perkalową spódnicę Hanki. Ci sami zupełnie ludzie, jeno z pałaców przeprowadzeni do chałup, ta sama zemsta, jeno w miejsce zamaskowanych romantycznie, z wenecka, zbirów — łapówka, dana wioskowemu „starszynie,“ by amanta wpakował do kozy, a dziewczynę wykurzył ze wsi, a jeśli się nie da, zakuł w dyby; oraz baba sekutnica i żyd szynkarz; ta sama wreszcie miłość, źródło wszelkich nieszczęść, gorąca, stała w obojgu i całe ich istoty pożerająca, pełna tkliwych wybuchów i bohaterskich uniesień.

Wszystko tedy obraca się tutaj dokoła miłości, choć jak rzekliśmy, bardzo flegmatycznie. Jednak nie można powiedzieć, żeby zużyta trochę oś ta wypełniała sobą całe pięć tysięcy — z górą — wierszy. Rodzajem swym *Hanka* spokrewniona jest z *Panem Tadeuszem*, to znaczy, iż płaci także daninę żywiołowi obyczajowemu i obok erotycznej plecionki dzierga także barwną tkaninę opisów. Jest tam dużo kartek z owej epopei chłopskiej, o której marzą u nas w ostatnich czasach. Tylko że obrazy traktowane w opowiadaniu klasycznem *grandioso*, jak granie na rogu, opis matecznika, batalia stoczona z kapitanem Rykowem, opis ogrodu owocowego lub grzybobrania, na scenie bytu chłopskiego stają się z konieczności drobnymi pejzażykami lub rodzajowymi obrazkami o treści maluczkiej, owianymi tchnieniem niedoli, ciemnoty i prostactwa, albo niewysłowioną tęsknotą ściernisk i jałowego życia kmiecego. Wyraziste jego epizody to jarmark, dożynki, pijatyka i bijatyka w karczmie. Zamiast krwi leje się wódka, miecze zastępuje ordynarny kułak, pancerze — plastry brudu. Z takich materyałów nikt nigdy eposu chłopskiego nie stworzy. Nie ma w nim miejsca na spokój, ale na smutek i politowanie dla nędzarzów, w których twarda skiba zatraca świadomość różnic między człowiekiem i zwierzęciem.

Hanka dawała pyszną sposobność do wynurzenia tych żalów społecznych nad losem i nicością chłopa, oraz artystycznego postawienia dyagnozy i wytłomaczenia objawów chorobliwych. Tymczasem poeta nie chciał jej wyzyskać — bez ryzyka wielkiego możnaby powiedzieć, że nie umiał. Liryczne współczucie skupił na intrydze miłosnej, a resztę motywów przedstawił „objektywnie“ — jak się jemu samemu pewnie zdawało — a jak my sądzimy: „mdło.“ Mdłym bowiem, czczym i nużącym jest wizerunek zwyczajów i osób, typowych nietylko na Podolu, ale zarówno na Mazowszu, jak w Wielkopolsce, na Kujawach, lub na Kurpiach, tysiąc razy już wznawianych, oklepanych do obrzydliwości — jeśli z nich nie wyziera jakiś świeży nastrój, uczucie gorętsze poety lub nowa myśl socyologa.

Rzeczy stare odtwarzać wolno tylko wtedy, gdy się ma przeczucie, że świeża ich postać będzie stokroć piękniejszą, lub że poruszy w nas struny dotąd milczące.

Raz tylko poeta zdobył się na szczersze westchnienie, niewywołane romantyczną tkliwością.

I Hryć już nie żył. Jedna chłopska siła
Cicho, bez gwaru ze świata ubyła...

a ta sama refleksya ładniej jeszcze wyrażoną została nieco wyżej:

Hryć konał, mając obok łan i zboże,
Jak wieśniakowi przystało na roli.
Ojczysta ziemia jak matka rodzona,
Blednego kmiotka bez szczęścia i doli
Już przygarnęła do swojego łona.
Ona nie odda go teraz nikomu;
W ciasnej mogiłce, w łachman przyodziane
Przez dobrych ludzi, znajomych litośnie
Spocznie to ciało chłopskie, skołatane,
Garsteczka prochu wśród ciała ogromu
I nikt nie powie, że pod tą mogiłą
Co się zapadnie i chwastem zarośnie,
Serce wieśniacze pełne bólu biło.

W paru jeszcze miejscach rozbrzmiewa ta sama melodya — gdy mianowicie chodzi o... żydów. Tego wonnego i świeżego tematu nie będę jednak osobnemi cytatami uprzytomniał.

(D. n.)

Cezary Jellenta.

KONIEC TRYLOGII.

Jakkolwiek p. Sienkiewicz z trzynastu tomów swego obrazu historycznego ma prawo być zadowolonym a niewątpliwie jest dumnym, bo praca ta przyniosła mu w natychmiastowej wypłacie sławę, od której przyszłość tylko coś odjąć, ale do której nic dodać nie może, to jednak sądzimy, że skończywszy „ten szereg książek pisanych w ciągu kilku lat dla pokrzepienia serc,“ uczuł pewien żal, płynący z przekonania, że stworzył dzieło mniejszej miary, niż siła jego talentu. Gdyby nawet tajemnicy tej publicznie nie zdradzono, że pisał swoje powieści równocześnie z ich drukiem w *Słowie* i *Czasie* krakowskim, że je podkładał pod czcionki częściami, że oczy czytelników posuwały się po nich za jego piórem, odgadlibyśmy to z samego wątku opowiadań, w wielu punktach potarganego zapomnieniem lub nadwątlonego znużeniem. Podnosząc zaś ujemne skutki tej pracy kawałkowej, nie myślimy o drobiazgach, o zmienianej w ciągu powieści barwie włosów bohatera lub porze roku. Chodzi nam o rzeczy ważniejsze. P. Sienkiewicz tworząc ułamkami, nie mógł wykończyć należycie

---

Czerwona smuga na wschodzie zapowiadała dzień. Około mnie zaczęły krążyć „ptaki żyrafy.“ W chwili gdy do jednego z nich chciałem strzelić, kilka wzbiło się wysoko z krzykiem. Posunąłem się nieco dalej ku wierzchołkowi mojego drzewa dla zbadania przyczyn tego niepokoju. Rozejrzawszy się wkoło dokładnie, spostrzegłem lwa, pełzającego śladem naszych koni ku żyrafie. Nieopodal czaił się drugi, za nim trzeci. Przeszedłszy miejsce otwarte, osiadły na brzuchach, podczas gdy ptaki spotęgowały swój wrzask. Powoli lwy zniknęły mi z oczu. Wróciłem do mojej poprzedniej siedziby na drzewie, miarkując, że zbliżą się ku mnie. Ujrzałem przewodnika, który przyczaił się niedaleko łupu i czekał. Na co? Na towarzyszów, którzy z różnych stron podeszli, otoczywszy wkoło ofiarę, jak gdyby według obmyślanego planu. Teraz ruszyły razem, zmniejszając się i coraz bardziej przyciskając do ziemi. Wreszcie największy przeskoczył kupę chrustu, obok niego wkrótce znalazły się inne i zaryczały gwałtownie, ryjąc łapami ziemię. Gdy w ten sposób ulżyły swemu gniewowi, zabrały się do odciągania gałęzi.

Odwróciwszy się w kierunku, skąd ludzie moi przybyć mieli, ujrzałem ich o 60 kroków na wzgórzu. Nagle stanęli około wozów, tylko Lulu ze swoim przyrządem fotograficznym brnął szybko przez trawę. Prawdopodobnie chciał on urzeczywistnić swoje marzenie i zdjąć widok „lwa u siebie.“ Pragnąłem go ostrzedz, bo nie wiedziałem, czy pojmuje całe niebezpieczeństwo położenia. Odblask słońca w szkle aparatu przekonał mnie, że Lulu ustala sobie grupę. Patrzę na lwy — największy wyszarpuje kark żyrafie; oglądam się — Lulu zajęty przy kamerze tak spokojnie, jak w pracowni. Widocznie ma już jeden obraz i zdejmuje drugi. Po chwili obaj z Fritzem ujęli strzelby — jednocześnie ja wycelowałem — huknęły trzy strzały.

Lwy podskoczyły w górę, zaryczały straszliwie, a jeden pobiegł do miejsca, gdzie kula zaryła się w ziemię. Stały, mrucząc i bijąc ogonami gniewnie po bokach. Strzelby zagrzmiały znowu. Byłem przekonany, żem nie chybił, a mimo to żaden lew nie zdradzał zranienia. Wtem stary, wcisnąwszy ogon między nogi, biegnie do Lulu i Fritza. Ślę za nim kulę z obawą, czy nie trafię którego z towarzyszów. Tymczasem Lulu ustawia swój przyrząd. Obok niego Fritz. Oszaleli!.. Nie mogę wytrzymać i krzyczę:

— Waryaci! Strzelajcie, inaczej zginiecie!

Zanim te słowa przebrzmiały, Lulu zarzucił sobie na głowę osłonę czarną i przysunął się o parę kroków naprzód ze swym aparatem. Co za szaleństwo! Ale on do tego był zdolny — nie znał obawy. Przed kilku dniami Jan opowiadał nam o pewnym człowieku, który spotkawszy lwa, zgiął się, a biegnąc tyłem i wywijając czarną chustką, odstraszył go; co innego wszakże doświadczać na sobie tego środka z rozmysłem!

Nagle lew staje, uderza ogonem po bokach i... zawraca ku mnie. Z Fritzem posyłamy mu kule. Ale on zatrzymuje się dopiero przy żyrafie, gdzie dwaj jego towarzysze oczekiwali spokojnie końca walki. Dziwną siłę miał ten zwierz, wytrzymawszy taki ogień. Zdawało się, że strzelamy grochem. Odważnie stawił czoło, chociaż widocznie niezdecydowany, czy ma jeszcze napadać, czy cofnąć się. Kolejno wymierzyłem do dwu innych, które natychmiast uciekły.

— Gdzie są? — krzyknął Fritz.

— Został tylko jeden — odrzekłem i jednocześnie znowu strzeliłem, celując między ślepie.

W tej chwili zabrzmiała inna strzelba pode mną. To buszman, który się prześlizgnął pod drzewo.

— Rzuć fuzyę — zawołałem — i drap się do mnie, bo zginiesz.

Ale on wpadł za krzak cierni. Lew pobiegł za nim, niedaleko wszakże: zachwiał się i runął martwy.

(D. n.).

całości, urozmaicić ją świeżymi pomysłami i utrzymać rozwoju swych postaci w spójnym ciągu. Stąd też jego obrazy, piękne i barwne w szczegółach, są nużące i jednostajne wogóle. Przygotowania do wyprawy, pochody, bitwy, a na tem tle namiętna miłość—oto osnowa trzynastu tomów. P. Sienkiewicz wziął sobie za wzór znaną trylogię starego Dumasa. Model już sam przez się nęcił go silnie w kierunku zmyślania nieprawdopodobnych przygód, potrzeba zaś szybkiego tworzenia z dnia na dzień jeszcze bardziej go ku tej stronie popychała. Czy te awantury są w odniesieniu do warunków i osób możliwe, czy się z sobą wiążą mocnym łańcuchem logiki wypadków, nagloný pośpiechem autor nie pytał. Nie mając czasu rozważać prawdopodobieństw i zależności, nie mógł poprawiać pomysłów pierwotnych, już pod prasą drukarską utrwalonych, nad tem, co zrobił, tracił władzę, to zaś, co robił, wyślizgiwało mu się z rąk; nie wolno mu było stanąć, odpocząć, zaczekać na lepszą chwilę; potok myśli wylanych szybko od niego uciekał a wylewanych równie szybko go unosił. Wyobraźnia pędziła naprzód bez tchu, nie zwijając skrzydeł.

Tym sposobem można tylko usnuć bajkę. Dokonał tego istotnie p. Sienkiewicz, a ponieważ ma talent zasobny w środki i bogaty w uroki, więc owa bajka wyszła z pod jego pióra piękną.

Pan Wołodyjowski *) jest trzecią odmianą pomysłu, rozwiniętego w *Ogniem i mieczem* a powtórzonego. w *Potopie*. I tu występuje rycerz, kochający dziewicę, którą przeszkody od niego odsuwają; i tu porywa ją oszalały w dzikiej namiętności herszt drużyny wojackiej; i tu ratuje się ona z niebezpieczeństwa; i tu opiekunem kochanków a wreszcie małżonków jest mężny-tchórz, poważny - błazen; Falstaf-Ulises-Zagłoba; i tu „mały rycerz z ruchającymi wąsikami gasi ludzi jak świece," dokazując cudów waleczności; i tu mordy, pożogi, rabunki, tak wesołe toczenie krwi z żył ludzkich, jak wina z gąsiorków; i tu wojna przedstawia się nie w widokach ciężkiego trudu, ale przyjemnej zabawy; i tu wreszcie wszystkie wypadki wywiązują się nie prawem wewnętrznej konieczności działających osób, ale przez dowolne i mechaniczne zestawianie ich obok siebie według wymagań optyki; i tu nie mamy rozwoju charakterów, ale szereg żywych obrazów, nie utwór psychologiczny, ale malarski.

Naturalnie waryant zawiera w szczegółach różnice. Wołodyjowski, zrozpaczony po śmierci Anusi Borzobohatej, wstępuje do zakonu Kamedułów, skąd wydobywa go Zagłoba. Młody rycerz natychmiast zakochuje się w Krystynie Drohojewskiej, a gdy ta podczas jego nieobecności przechyliła swe serce ku Ketlingowi,—w Barbarze Jeziorkowskiej, którą poślubia. Ale wysłano go na kresy, ażeby stróżował i odpierał pierwsze fale turecko-tatarskiego morza, które wzdymało się od południa i wkrótce miało zalać Rzeczpospolitę. W oddziale jego znajduje się młody tatar Azya, syn Tuhay-beya, który skrycie marzy o odzyskaniu potęgi ojca i jak Bohun do Heleny pała miłością gwałtowną do Wołodyjowskiej. W czasie podróży porywa ją, ale ona rani go i ucieka do męża. Rozwścieklony zawodem Azya zabiera dwie jej przyjaciółki w niewolę, wyrzyna ich rodzinę, niszczy i pali, co może, i wraz ze swą drużyną ucieka jak okrwawiony wilk do lasu, do którego ciągnęła go natura i z którego wychodzą nieliczone zastępy dziczy na zagładę Rzeczypospolitej. Rozbity i schwytany przez brata jednej z ofiar ginie na polu. Wołodyjowski otrzymuje polecenie obrony Zwańca, a wreszcie Kamieńca. Gdy ten ostatni po długiem oblężeniu poddał się turkom, mały rycerz z przyjacielem swym Ketlingiem, nie chcąc przeżyć hańby żołnierskiej, podpala prochy zamku i w wybuchu ginie.

Kanwa ta, jak i w powieściach poprzednich, barwnie i bogato wyszyta obrazami życia żołnierskiego, walk orężnych, długich pochodów zbrojnych i śmiałych najazdów. Obok postaci znanych, jak Wołodyjowski, Zagłoba, Ketling, wprowadził autor na czoło obrazu dwie nowe: Basię, żonę tytułowego bohatera, która jest również małym rycerzem w spódnicy, rwie się do szabli, przyjmuje udział w bitwach z takim humorem, z jakim jej płeć rydze zbiera, oraz Azyę, ambitnego i mściwego tatara, który chce ją wydrzeć mężowi. O ile wszakże namiętność Bohuna do Heleny była wytłomaczoną, o tyle nagła, niczem nieusprawiedliwiona żądza Azyi ku Basi wygląda na słabe naśladownictwo własnego pomysłu. P. Sienkiewicz, nakreśliwszy raz postać dzikiego kochanka, odbija go ciągle, zmieniając tylko ramy.

Nie będziemy tu powtarzali uwag, które wypowiedzieliśmy po ukazaniu się dwu pierwszych części trylogii, a które potwierdziła ostatnia. W trzynastu tomach autor roztoczył wspaniały obraz, albo raczej szereg obrazów życia obozowego i wojny, stworzył olbrzymią bajkę, która snuje się fantastycznie jak sen wyrazisty i którą z zachwytem opowiadaliby sobie żołnierze przy biwakach. W bajce tej nie ma prawdy, nie ma prawidłowości, w charakterach i wypadkach objawiają się ustawicznie cuda, podobne do owych legend, gdzie grzebienie zamieniają się na lasy a królewicze na orły, nie ma realnej ciągłości w rozwoju charakterów i zdarzeń, ale jest w niej to, co jedynie nadaje wartość dziełom sztuki, jest lwia siła — talent. Najznakomitsza np. z figur tej galeryi, Zagłoba przypomina konie ze skrzydłami, lwy z głowami kobiet, mężczyzn z kopytami kozłów, potwory mityczne, ale jeż mistrzowstwa w tym dziwolągu, ulepionym z najrozmaitszych sprzeczności! Cały wątek bajki wije się około czarodziejskich szabli, ale ileż w nim szczero-złotych nici! Ani jednej karty tej trylogii nie można nazwać głębokiem spojrzeniem w życie, ale wszystkie można przenieść pędzlem na płótno. P. Sienkiewicz nie bada, nie filozofuje, nie otwiera dusz ludzkich, tylko maluje łupiny życia, nie wyłuskując z nich ziaren. Po przeczytaniu jego utworów myśl czuje czczość, ale wyobraźnia — aż przesyt.

A. S.

*) Tomów trzy, nakład *Słowa*.

LITERATURA FRANCUZKA.

Naturalizm.

II.

Naturalizm — mówi Renard — pochodzi od romantyzmu przez reakcyę i dalszy rozwój. Już romantyzm był w pewnym względzie realistycznym. Wiktor Hugo wołał: Precz z narzuconemi zgóry regułami i konwencyonalnemi figurami; precz maryonetki klasyczne bez życia, cienie bez ciała! Starajmy się używać języka bardziej prostego, zwykłego, prawdziwego. Hugo oskarżony był o nadużycie wyrażeń grubijańskich, gwary galerników. Autor *Kromwela* pisał w znanej przedmowie do tego dramatu, że artysta powinien radzić się tylko natury, prawdy i... natchnienia. Romantyzm umarł jednak z nadmiaru idealizmu, uwiądł wreszcie, jak więdną zielone niegdyś liście; wyczerpał się, jak wszystko, co żyje.

Pojawiła się wtedy szkoła, która śmiało ogłosiła hasła, będące przeciwstawieniem zamierzającego kierunku. Poczyna się reakcya. Młode pokolenie pali bożyszcza starszego. Pojawia się pragnienie czegoś innego, niezużytego, nowego. Najnowszem jest oczywiście coś wręcz przeciwnego. Występują realiści, naturaliści, którzy uderzają na starszych, zapożyczają u nich wiele i szpecą to, co tamci upiększali. Są to naprzód i przedewszystkiem opozycyoniści. Poezya i wiersz w pogardzie; proza górą; oddano ją w niewolę nauce; skrzydła podcięte; wyobraźnia winna ustąpić rozumowi. Nowi pisarze nie wyjdą z granic Francyi i teraźniejszości, ich zaś poprzednicy bujali po krajach odległych i wiekach minionych. Odpędzane są również uczucia szlachetne, ludzie upoetyzowani, tytaniczni bohaterowie. Miejsce dla instynktów poziomych, dla ludzi brutalnych, zeszpeconych i poniżonych, upośledzonych... Język tych pisarzy zmierza do wierności i ścisłości, troszczą się oni o otoczenie, usiłują wszystko wypowiedzieć i nazwać właściwemi słowy. Idą dalej drogą wskazaną przez Wiktora Hugo i Teofila Gautier. Pesymizm, odziedziczony po Mussecie i Chateaubriandzie, staje się systemem; cierpią, oplakują rozbite nadzieje i żal mają do świata za rozwiane mary i ułudy. Realiści tego pokroju są to właściwie idealiści rozczarowani i zniechęceni.

Literatura nie wyrasta i nie rozwija się w próżni; towarzyszy ona społecznemu rozwojowi, idąc w ślady jego lub mu przewodnicząc. Społeczeństwo zaś nowożytne, a szczególniej francuzkie, demokratyzuje się. Kiedy w r. 1830 poczęła się nowa literatura, polna zapału i ognia, był to tylko jeden z objawów tego ruchu, który zmiótł zrestaurowanych Burbonów. Nowatorowie ówcześni głosili wolność sztuki, równość różnych jej rodzajów, braterstwo słów, które bez różnicy pochodzenia stały się obywatelami języka francuzkiego. Wiktor Hugo powiedział: „włożyłem czapkę czerwoną na stary dykcyonarz." Dzieło prowadzono dalej w tym duchu; romantyzm był tem w literaturze, czem liberalizm w polityce. Przedstawia on wybornie te skłócone pożądania, które doprowadziły do dni lipcowych i późniejszego poronienia. Jest to sztuka tego dwulicowego porządku, który zrywa ze starą monarchią bożej łaski, lecz się zatrzymuje w pół drogi. I romantyzm jest tylko napół rewolucyjnym. Burzy on klasycyzm i jego literackie konwenanse, powraca jednak do katolicyzmu i wieków średnich, do typów i zwyczajów arystokratycznych. Eugeniusz Sue, kiedy kreśli scenę ludową, stara się owinąć ją w płaszcz oratorski.

Od owego czasu społeczeństwo demokratyzowało się wciąż dalej. Głosowanie powszechne umocniono; występują na scenę nowe klasy i żywioły. „Realizm, przybierający miano naturalizmu, przedstawia w literaturze wystąpienie tych nowych pokładów społecznych, o których mówił Gambetta." Pesymizm i materyalizm odpowiadają również pewnemu stanowi umysłów. Są one wyrazem społeczeństwa, które od lat stu poszukuje swej formy stałej, nie zna spokoju, zna jednak upadek sił i zniechęcenia, niewiarę w siebie i wiarę w naukę. Żyjąc wciąż wytężoną nadzieją, dochodzimy do beznadziejnego zwątpienia. Ustawiczna nieodpowiedniość między tem, czego pożądamy i tem, co możemy, zabija samą zdolność pragnienia i chcenia. Znajdujemy wtedy wytchnienie na wyziębłem łonie fatalistycznego pesymizmu. I stan ten nie przeminął dotąd we Francyi; rzeczpospolita denerwująco drepcze wciąż na miejscu, ze zdenerwowania zaś tego i zniecierpliwienia rodzą się różne bulanżyzmy lub bezkrwistość myśli i czynu. Nastało bezkrólewie ideału; zapanował natomiast interes i epikurejska przyjemność zmysłowego charakteru — w świecie wiedzy nauka sucha, rzekomo ścisła, a w gruncie doktrynerska i ciasna. Rząd Ludwika Filipa wołał: „Wzbogacajcie się!", Napoleona III-go: „Bawcie się!" — trzecia zaś Rzeczpospolita połączyła oba te hasła. Nie obaliła jednego tronu, tronu Miliona.

Wśród rozbicia się wiar i systemów nauka jedna wskazuje grunt stały, punkt Ar-

chimedesowy, który świat ma poruszyć. Wszyscy więc ku niej biegną, garną się, by się czegoś nauczyć, przedewszystkiem jednak nauczyć się, jak służyć mamonie i używać, idąc po trwałym pomoście faktów pozytywnych. Pewni są siebie przechodnie tych ulic brukowanych faktami, boją się jak ognia wszelkiej niewiadomej, przeczą jej istnieniu, a szczególniej poznaniu. Darwin i Spencer wykreślają wprawdzie szerokie uogólnienia, nie odbiegają one jednak od rzeczy poznanych i zbadanych. Nauka stosowana w wielkiem poszanowaniu. Inżenierowie i lekarze odgrywają zarówno w życiu, jak i na scenie, pierwsze role. Napełniają sobą literaturę. Wyznanie wiary epoki sprowadza się do tych słów: „Nadzieja umarła. Teraźniejszość jest smutną, przyszłość zaś nicością. Mądrość polega na używaniu i wiedzy: najpewniejszem używaniem jest podrażnienie zmysłów — jedyną wiedzą nauka przyrody i jej praw niezmiennych, a więc dogodnych, bo im tylko biernie ulegać potrzeba.“ Zasady wszelkie nie w modzie, bo tchną metafizyką i idealizmem — oportunizm jest hasłem tego wieku nauki pozytywnej i oględnej. Można przytem zabawiać się w socyologię, która uczy ostrożności, żebyśmy czasem nie zboczyli z utartego gościńca rzeczy poznanych i wypróbowanych. Polityka jest realistyczną, a zatem i oportunistyczną. Streszcza ją w sobie Bismark, człowiek genialnie umiejący wyzyskiwać fakty i posługiwać się nimi z czelnością bezsromną. Materyalizm znowu głosi wyzwolenie ciała, uprawnienie przyjemności, co już buntowniczo głoszono za czasów romantyzmu. Teraz jednak to nie bunt, lecz uprawniona zasada. Realizm ten wkracza z kolei w malarstwo, rzeźbę i muzykę, jako impresyonizm lub wagneryzm. W historyi panuje monografia i erudycya; stara się ona być nieosobistą i beznamiętną, przedmiotową. Stroni od rad, pojmuje zaś tak dobrze przyczyny wszechrzeczy, że wszystko usprawiedliwia.

„Szkoła jednak — powiedział Zola — jest tylko przystankiem w rozwoju sztuki“ i naturalizm więc ze wszystkiemi swemi właściwościami nie może być jej stacyą ostatnią. Da się zaś dziś to tem łatwiej powiedzieć, że znamy już warunki powstawania nietylko dzieł poszczególnych, lecz i całych szkół. „Jesteśmy obecnie — pisze Renard — w chwili widocznej fermentacyi i przygotowującego się odnowienia; teraźniejszość wysiaduje już przyszłość, odradzający się idealizm zaczyna się wykluwać.“ Zwrot dokonywa się równocześnie na różnych polach, w dziedzinie nauki, stosunków społecznych i politycznych; narodziny te są dopiero przedświtem — koguty jednak już pieją śród brzasku. Literatura, nie schodząc nawet z naturalistycznego gruntu, zaczyna się przekonywać, że ideał jest równie naturalnym produktem ludzkim, jak zmysły i namiętności, że ideał ten, z chwilą gdy został poczęty, narodzony i określony, staje się siłą, przyczyną wywołującą (determinującą) pewne skutki, że jest to także jeden z naturalnych czynników życia i rozwoju. Chodzi więc tylko o rozszerzenie pojęcia natury, o włączenie do niej psychologii, o zaregestrowanie objawów społecznych, które naturalizm pomijał. Zajść tu musi podobne rozszerzenie naturalizmu za sprawą idealizmu, jak dzięki naturalizmowi odbyło się rozszerzenie pola, uprawianego przez romantyzm. Oznaki tej odmiany dają się spostrzegać nawet w utworach pisarzy, należących do obozu naturalistycznego, u jego filarów, nawet u Zoli. W liście do Renarda powiada on, że „my nigdy nie wypędzaliśmy z człowieka tego, co wy nazywacie *ideałem*,“ woli jednak, żeby zamiast nadużytego wyrazu „ideał,“ nazywać to „hipotezą.“ Hipoteza jednak i ideał, to rzeczy różne, trafnie zauważa Renard. „Niewątpliwie — pisze dalej Zola — oczekuję nieodzownej reakcyi, nniemam jednak, że dokona się ona raczej przeciwko naszej retoryce, niż przeciwko naszej formule. To romantyzm właściwie zostanie w nas pokonany ostatecznie, podczas gdy naturalizm uprości się i uspokoi. Będzie to nie tyle reakcya, ile rozszerzenie...“

Na tych słowach zakończyć mogę te uwagi. Dodać tylko winienem, że dotyczą one Francyi. W Niemczech dopiero od niedawna zaczęła się reakcya w kierunku naturalistycznym, u nas zaś naturalizm nie porobił jeszcze „koniecznych spustoszeń,“ aczkolwiek dał się i nam czuć w różnych swych objawach.

E. Przew.

MALARSTWO.

Wystawa Sztuk Pięknych.

Ruchliwym względnie do ogólnej u nas drzemki artystycznej stał się ostatnimi czasy ten przybytek sztuki plastycznej. Przewinęło się przezeń w ubiegłym roku sporo płócien znakomitych, wprawdzie po większej części obcego pędzla, no, ale cóż robić, jeśli odwieczne motywy religijne i pseudohistoryczne, również obfitujące w aureole święte i aniołów — już się przejadły nieco, a na inne jakoś dotąd bardzo rzadko się zdobywamy?

Obecna jednak chwila jest dla „Wystawy“ szczególnie pomyślną. Dziwnym zbiegiem zebrało się na niej kilka utworów swojskich, z których wprawdzie jeden tylko treści współczesnej i całkiem świeżej, ale wszystkie zdolne są widza dłużej przed sobą zatrzymać.

Tym jednym jest obraz Aleksandra Gierymskiego p. t. *Żydzi modlący się w święto Trąbek nad Wisłą.* Dopiero od dni kilku zdobi on galeryę, a już potrafił wywołać prawdziwy rozruch w całej rzeszy artystycznej, jak w całym ogóle miłośników piękna, poruszyć umysły zdawna niepamiętanem wrzeniem i zapełnić szpalty dzienników pełnymi zachwytu panegirykami.

Ale — spieszmy dodać — panegirykami zasłużonymi i dosyć dalekimi od przesady. *Trąbki* — to jeden z najświetniejszych wyrazów realistycznego malarstwa. Przedstawiają one scenę z nad Wisły w przystani berlinek między dawnym a nowym mostem. Na odrapanym bulwarze i wybrzeżu piaszczystem, które ślady stóp ludzkich czynią podobnem do gąbki olbrzymiej, stoją żydzi modlący się, twarzami zwróceni w stronę fal; tu przechadzają się, a owdzie zebrani w grupy rozmawiają; opodal widać znów żydówki, również w modłach lub zadumie pogrążone. U rozłożonego ogniska siedzą oryle, z których jeden wygrywa na harmonii. Na kotwicach kilka berlinek i łodzi rybackich, w dali widnieje most nowy z czerwonymi murami cytadeli u lewego boku. Krajobraz niezmiernie rozległy i pełen życia, choć jest ono spokojne i jakby dostrojone do pory poprzedzającej zachód słońca, oraz do nieruchomej tafli wody, która zapożyczyła od nieba barw opalu, i czysta a lśniąca odbija w sobie łodzie i maszty.

Niewątpliwie pierwszem, co widza uderza i zastanawia — rzec można — przykuwa, jest ta woda. Artysta nadał jej połysk lśniący, jakiego dotąd na żadnym nie widzieliśmy obrazie, a jaki bywa najprawowitszą przynależytością fali cichej i niezamąconej pod lazurem pogodnym. Postacie żydów najbardziej urozmaicone celują niezrównaną typowością; cała fizyognomia wybrzeża posiada perspektywę i wypukłość łudzącą, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, tak iż niemal zamęt powien sprowadza w umyśle — ale wszystko to jest bagatelą wobec cudownego iście oddania zwierciadła rzeki. Tym jednym *kunststückem* p. Gierymski posunął technikę malowania wody o cały krok naprzód i odtąd wszyscy w tej mierze będą go musieli liczyć do idealnych wzorów.

Tuż obok, rama o ramę, widzimy również krajobraz wodny. Na obrazie Alchimowicza rzeka czy jezioro posiada tę samą zupełnie barwę opalu, błękitu i perłowej masy, takie same nad sobą niebiosa — widocznie użyciem tych samych farb osiągnięte, a przecież... a przecież szyba wypadła *matowo* w porównaniu z szybą Wisły u Gierymskiego. Są u niego pewne szczegóły, zdumiewające swą subtelnością i ogromem złożonej w nich pracy; do nich należy spadek bulwaru, lekkie pomarszczenie się wody w jednem miejscu, oraz odbicia masztów oddane nie liniami całkiem prostemi, lecz niedostrzegalnymi z dala zygzakami, które jeno w perspektywie układają się w linie proste. Zjawisko to w rzeczywistości warunkuje niezanikająca nigdy doszczętnie pręgowatość fali. Zaś do momentów mniej szczęśliwych, kto wie, czy nie należą dwie wierzby nad domkami; przepuszczają one wybornie światło nieba, ale są nadto płaskie i dwuwymiarowe, za mało czuć w nich niezbędną grubość i kulistość korony liściowej. Pociąg kolei na moście wydaje się nam trochę zbytecznym...

Słówko jeszcze o samej treści. Wyobraża ona, jak widzi każdy, chwilę piękną, chwilę odpoczynku i rzec można, święta w naturze, kiedy to setki ludzi stają na moście i przyglądają się majestatycznemu spokojowi szerokiego mostu; taki staw i taka barwa wody, choćby to był staw jedynie — czynią ją bezdenną i prawie zawsze pogrążają myśl w miłej kontemplacyi. Artysta nie wybrał tu bynajmniej sceneryi *pierwszej lepszej*, z wyłączną dbałością o technikę i punktem ciężkości w prawdzie. Nie zaszkodziłoby, gdyby niektórzy estetycy, posuwający cześć swą dla realizmu do niepożądanego kierunkowi maniactwa, zechcieli nieco o tem pamiętać.

Trąbki wprawiły wielu znawców sztuki w nietylko wytłomaczony bardzo zachwyt, ale i ogólnie różowy nastrój. Nawet Wiktor Gomulicki zabawił się w naiwny optymizm, który mu z pod pióra dziwne wydobył słowa, iż „gdyby naród nie był tak ubogim, głosowałby za nabyciem cennego tego dzieła do Muzeum narodowego w Krakowie.“ Jeżeli w Warszawie, miejscu narodzin obrazu Gierymskiego, potrzeba gromowej fanfary wszech estetyków, ażeby garstkę ciekawych przed nim zatrzymać na chwilę — co pocznie w grodzie podwawelskim malowidło, na którem nie masz ani jednego biskupa, ani jednego magnata-sprzedawczyka, a bohaterami głównymi są hałaciarze?

Wspomnieliśmy o płótnie obocznem. Jest to *Pogrzeb Gedymina*, który zjednał Alchimowiczowi medal Akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Jeżeliby kto chciał na tym obrazie szukać motywów silnych, dostrojonych do potęgi plemienia litewskiego, jego posępnej i niemej grozy — dozna zawodu. Znajdzie jedynie łagodną elegijność, rozprowadzoną na niewielką ilość postaci, które snują się żałobnym orszakiem nad brzegami jasnych wód, poprzedzając zwłoki wielkiego księcia. Bez objaśnienia w tytule niktby nie domyślił się, że patrzy na chwilę doniosłą dla dziejów narodu, a nie na pogrzebowy pochód zwykłego śmiertelnika. Wszystko, co składać się powinno na majestat grobu, zostało w mrokach boru, z którego orszak się wyłania, a na głównym planie widać jeno płaczki, dziada-lutnistę, kapłana i jakiegoś jeńca krzyżackiego. Ten stanowi epizod mimowolnie komiczny, spogląda bowiem z pod szyszaka swego tak groźnie, jak chórzyści naszej opery w papierowych zbrojach. Prócz niego wszystkie figury wyrazistsze są w sobie skończonymi obrazami, pełnymi miękiego smutku i niezaprzeczonej poezyi, choć nie ulega wątpliwości, że artysta zamierzał osiągnąć efekt dramatyczny, a nie liryczny.

Gdyby podobny temat nawet tak samo pojęty przelew[ł] na płótno Matejko — widz byłby z pewnością świadkiem namaszczonego prawdziwie aktu i zrozumiałby, że patrzy na szczątki monarchy, żegnane przez milionowe tłumy z bólem czy radością, ale bądź co bądź wspaniale. Bo bez ironii powiedzieć można, że nigdy królewskość tak świetnych promieni nie rozprasza, jak wtedy, gdy wybiła ostatnia jej godzina. Rzec można, iż to sama historya pragnie upamiętnić epokowy dla ludu zgon i ubiera go w powagę i ceremonię, zarówno w kulturze dojrzałej, jak u szczepu pół-barbarzyńskiego.

Matejkę uprzytomnia na wystawie obrazek niewielkich rozmiarów, który odtwarza chwilę jeszcze nie tak symboliczną i pyszną jak pogrzeb władcy, a przecież nierównie dramatyczniej ju uwypukla. Nie, właściwie grzech powiedzieć „uwypukla“ *Ostatnie chwile Zygmunta Augusta* znowuż przytłaczają zbitą masą osób, cisnących się do komnaty dogorywającego, lub już w niej obecnych. Jest to miniatura wszystkich zalet i wad ulubionego mistrza galicyan: przepych i bogactwo barw iście oślepiające i zupełny brak powietrza. Stąd nastręcza się oku nieladа łamigłówka do rozwiązania, jeżeli przypadkiem zapragnie ono wyodrębnić myślowo każdą pojedynczą postać, lub zbadać względną między niemi odległość.

Matejko zresztą obecny jest na wystawie żywą tradycyą daleko większego swego dzieła: *Sobieskiego pod Wiedniem*. „Towarzystwo“ krakowskie powzięło oryginalną myśl (jeżeli prawdą jest, iż chodzi o prezent dla papieża, to nietylko oryginalną...) skopiowania tego oratoryum pędzla sztuką cyzelerską na srebrze. Kosztownej tej pracy podjął się i dokonał p. Hukowski i stworzył rzecz więcej jeszcze niepowszednią, niż piękną.

Niepodobna nie dziwić się tej dużej, ze dwa metry długiej reprodukcyi—tak okazale i poważnie przedstawia się ona ze swemi wypukliznami szlacheckich głów i pysznych rumaków.

W fizyognomiach jest wiele niedokładności, ale nie psują one całości, przypominającej dawne, świetne czasy cyzelerstwa.

Dużo podobieństwa treściowego z trzema ostatnimi utworami swojskiego natchnienia ma wielkie płótno prof. Makowskiego z Petersburga, wyobrażające zgon Iwana Groźnego. Ale jeśli na równi z niemi jest ilustracyą jaskrawej karty dziejów, rodzajem artyzmu zbliża się znowu do czasów najświeższych.

Dwa pierwiastki, którym sympatyę swą u francuzów zawdzięcza literatura ruska: siła samorodna jakaś, boreaszowa i realizm, na pierwszy rzut oka biją i z tej wymownej niepospolicie grupy.

Śmierć zdybała groźnego kniazia znienacka, podczas gry w szachy z bojarem Bielskim. Głowa, w której słupieją już oczy, bezwładnie zwiesza się na poręcz fotelu a spuszczona martwo prawie ręka, obnażona do łokcia, spoczywa w dłoniach lekarza, który snać otworzyć chce żyłę. Przestrach i zgroza wypiętnowały się na obliczach otoczenia. Partner, pochylony naprzód, z najwyższym lękiem i zainteresowaniem wpatruje się w rysy książęce; z nad podłogi nadworny błazen uniósł trywialną, nabrzmiałą od trunków twarz, z której nie całkiem jeszcze zniknął śmiech ordynaryjny a już zarysowało się skrzywienie bolesne przywiązanego buldoga. Małżonka cara trwożliwie schylona rozpostarła dłonie nad mężem i ratującym go; córka przytuliła się do męża swego, jak gdyby pod wpływem zimnego dreszczu trwogi a Borys Godunow stanął jak posąg i dumnie — choć nie wiadomo dlaczego tylko dumnie — zmarszczył brwi. Nieświadomy mógłby sądzić, że on to sprawcą nieszczęścia i już z piękném jego obliczem kojarzy w duchu sumienie zbrodniarza.

Scenę uzupełniają matka konającego, która wchodzi po omacku, choć ślepota jej robi raczej wrażenie umyślnego na chwilę zaciśnięcia powiek, i postać jakaś modląca się, czy coś w tyglu warząca w komnacie sąsiedniej, oddanej z przewyborną perspektywą,

Postać ta ma twarz oświetloną ogniem kominka w sposób łudząco wierny rzeczywistości.

Ponura ta scena posiada niezwykłą plastykę i jeśli tak powiedzieć można — *krasomówstwo*. Każdy aktor ma w niej odrębną swą rolę a wszyscy tworzą pełną gamę uczuć, jakie wywołuje widok konającego starca-monarchy. Żadna gra twarzy nie powtarza się, żadna nie jest bez indywidualnej wyrazistości. Sam bohater to już apatyczna, zwiędła i zimna głowa pół-trupa a chłód ten i obojętność, zestawiona instynktownie z krwawą przeszłością rozkazodawcy, zachwycają swą prawdą. Uczuwasz odrazu, iż wszystkie porywy despotyczne i potężna wola znikły bez śladu. Bielski i błazen — każdy w swojej sferze — są pysznymi typami z dawnej Rusi.

Jest przecież jedno ogromne „ale“, które utrudnia i mąci estetyczne wrażenie obrazu. Oto zupełna jego dwoistość! Połowa osób ma minę, jak gdyby w tej dopiero *sekundzie* cara tknął atak, lub pękła mu żyła sercowa a druga połowa zajęta już jest *operacyą medyka*. Alež to są dwa momenty wcale z sobą niegraniczące — tak, nawet znacznie od siebie odległe! Lekarz z całą szkatułką przyrządów, choćby znajdował się w pałacu, choćby o ścianę tylko, choćby wreszcie u stóp władcy — musiałby jednak na wydobycie lancetu i odsłonięcie ciała użyć tyle czasu, iż wyraz pierwszego przerażenia pierzchnąłby z twarzy Bielskiego i błazna, przeszedł w smutek i zaciekawienie, stan ducha nieco późniejszy, całkiem właściwie wypiętnowany na licach niewiast, licach, niestety, zbyt szablonowo gładkich.

Ten dualizm jest szeroką szparą pęknięcia w pięknej, marmurowej ścianie. Widz myślący odchodzi od ram ze znakiem zapytania na ustach.

Koloryt— dodać wypada—świetny i subtelny, licujący z fizyognomią okresu pierwszych carów — ale nie zbytkowny i nie przesadny.

H.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mechanizm pojedynkowy. — Kto prowadzi zapaśników do starcia. — Podwójna rachuba. — Warunki naturalne i właściwości klimatu.—*Iliada* i *Piękna Helena* czyli rozprawy lekarzów i odpowiedź p. Ochorowicza. — Filozof i były profesor tańczący na korzyść hypnotyzmu. — Teorya śmiałości, której los sprzyja. — Hypnotyzer opuszcza nas. — Ciekawe widoki Warszawy. — Wycofany Peletko.

Nieprawdą jest, ażeby Floquet pojedynkował się z Boulangerem i wogóle, ażeby w naszych czasach ludzie pojedynkowali się. Ciała ich są wywożone w ustronia, ręce uzbrajane pistoletami lub szpadami, które ranią lub zabijają—temu nie przeczę; ale nie słyszałem ani o jednym wypadku, aby ktoś dobrowolnie wyzwał przeciwnika i chciał go zamordować lub być przez niego zamordowanym. Podobno zdarzało się to dawniej — dziś już nie. Czemże właściwie jest owa potyczka „honorowa?“ Oto poprostu mądro-głupi tłum, który namiętnie lubi walki gladyatorów, byków, kogutów, przepiórek, tracenia przestępców i wszelkie widoki krwawe, bierze za kark dwu poważnionych i każe im się bić pod groźbą utraty dobrego imienia. Powiada on do nich:

— Nic mnie nie obchodzi, który z was ma słuszność, który więcej wart, który ocaleje a który zginie; jesteście moimi niewolnikami i musicie sprawić mi igrzysko.

I niewolnicy mądro-głupiej opinii biorą szpady lub pistolety i sprawiają igrzysko „mycia honoru,“ po którem, jeśli nie zrobili sobie szkody, ona wyśmiewa ich, jeśli jeden zginął, opłakuje poległego, złorzecząc „barbarzyńskiemu zwyczajowi.“ Kiedy ten światły motłoch wyraża swe uczucia szczere, czego właściwie pragnie i jakiej trzyma się zasady, daremnie byś odgadywał. Jednocześnie bowiem wymaga pojedynku i potępia go. Tej żelaznej ręce, uderzającej o siebie dwie zacietrzewione głowy, wydzierają się tylko dwa rodzaje ludzi: zuchwali i tchórze. Ponieważ śmiertelność w pojedynkach nie jest dziś większą od śmiertelności w tyfusie lub ospie, dla przyjęcia więc wyzwania nie trzeba większej odwagi, niż dla wejścia do szpitala. Natomiast trzeba znacznej dla odmówienia walki „honorowej.“ Wtedy chociażbyś był Scewolą, będziesz skazany przez sąd opinii na roty aresztanckie ludzi bez czci, najjaśniejsze twoje przymioty rozpłyną się w cieniu tej plamy, byle warchoł, około którego raz kula przeleciała o dziesięć łokci, sponiewiera cię wzgardliwie, anioł dobrej sławy zwinie skrzydła i odleci od ciebie a zostaniesz tylko pod chłodną i obojętną opieką stróża porządku publicznego. Nikt ci nie uwierzy, że odmówiłeś pojedynku z przekonania, z zasady, z moralnej odrazy do dzikiego zwyczaju; lecz każdy cicho lub głośno powie, że uczyniłeś to z obawy. Jest to męczeństwo ciężkie, na które odważać się mogą tylko charaktery bardzo mocne.

Jeśli wszakże jest coś wstrętniejszego od pojedynku, to obłudni i tchórzliwi jego czciciele. Płazy te, śmiałe w kąsaniu i rozrzucaniu swej jadowitej śliny, nie posiadają ani odwagi oświadczenia się przeciw niemu, ani przyjęcia go. Szeroko otwierają gębę dla obrony rycerskiego zwyczaju w zasadzie; ale natychmiast ją sznurują, gdy ktoś od nich zażąda stwierdzenia słów czynem. Wtedy zawsze znajdą jakąś norę, do której się wślizną. Ten nie wyrównywa im stanowiskiem, inny nie chodzi do kościoła, inny ma krótko ostrzyżoną brodę, ojca szewcem, szwagra żydem itp. Przy tych wykrętach zawsze oberwą coś po uszach „protokółem“ świadków, ale tę zniewagę po cichu schowają głęboko i dalej grają rolę nieustraszonych bohaterów, daremnie oczekujących godnego przeciwnika. Często odbywa się prawdziwe na tych padalców polowanie, którego echa brzmią i w naszem życiu, ale zwykle bezskutecznie: przydeptany gad syknie, jeszcze raz ukąsi i ucieknie do nory, z której rzuca bezczelne wyzwania.

Nawet poważnych i rozsądnych ludzi płazy owe drażnią. Szkoda gniewu. Wogóle ludzie ci popełniają jeden ważny błąd: ścieśniają koło naturalnych, koniecznych warunków życia. Pojmują oni, że śnieg, deszcz, grad, błoto, kurz są właściwościami danego klimatu, z któremi zgodzić się trzeba i uznać je za przyrodzone. Nie mogą natomiast zgodzić się, że równie naturalnemi są: kradzież, oszczerstwo, kłamstwo, oszustwo, bezczelność, niecne spekulacye itp. Gdy ich deszcz zmoczy lub grad potłucze, znoszą to z filozoficznym spokojem; ale gdy dziennikarski łobuz obrzuci ich wymysłami, oburzają się i wyzywają go na pojedynek. Przeciw deszczom i gradom budujemy ściany i dachy, przeciw łobuzom ubezpieczamy się kijem lub sądem, ale czemu więcej ważyć potwarz, która obryzguje głowę, niż błoto, które obryzguje nogi? Przestanie ona nas drażnić, skoro ją również zaliczymy do warunków naturalnych, skoro powiemy sobie: oszczerstwo, nikczemność, obelgi to także właściwości klimatu.

Rozumowanie takie nietylko byłoby bardzo filozoficznem, ale zapobiegłoby wielu pojedynkom.

Warchoł Boulanger woła do prezesa ministrów Floqueta:

— Jesteś pan źle wychowanym żakiem... skłamałeś niecnie.

Jeżeli Floquet gardzi istotnie Boulangerem, powinienby odrzec:

— Proszę prezydenta Izby, ażeby zamknął regulaminem jej drzwi, bo mnie obryzguje błoto.

I zapewne byłby tak powiedział, ale do sali wkroczyła światła opinia publiczna, która ujęła go za kark i kazała bić się z Boulangerem, to znaczy: kazała naczelnikowi rządu pogwałcić prawo, zakazujące pojedynków, pod osłoną naczelnika policyi, obowiązanego ich nie dopuszczać.

Po skończeniu się tej farsy, z samych sprzeczności utkanej, na trybunę powinienby wejść Marek Aureliusz, Epiktet lub inny stoik i objaśnić tę gromadę bezmyślnych piastunów honoru, jakim sposobem filozof utrzymuje swą godność w czystości i zobojętnia na dotknięcia plamiących języków. Mam nadzieję, że światli przedstawiciele narodu... wygwizdaliby go należycie.

W pewnej mierze p. Ochorowicz przypomina Boulangera. Ex-generał łży deputowanych, ex-filozof łży lekarzów; tamten chce zostać dyktatorem w polityce, ten— w medycynie; obaj obiecują swoją „metodą“ i hypnotyzmem wyleczyć naród, obaj unikają sporu na gruncie właściwymi przenoszą go w sferę mas nieukształconych, obaj są znachorami. Od kilku dni nasz Boulanger głosi w *Kuryerze warszawskim* swój plebiscyt, przypominający nawet wyrażeniami wzór francuzki. „Dlaczego milczałem tak długo—mówi np. — pozwalając na rozchodzenie się fałszywych lub niedokładnych wiadomości? Miałem w tem interes osobisty...“ Zupełnie jak ex-generał. Ten „interes osobisty,“ polegający na obronie „metody“ od zarzutów moralnych, a nie od wątpliwości naukowych, na zachwalaniu swojego kopytka, a wydrwiwaniu cudzych, przesuwa się przez tę wesołą polemikę jako nić główna, na którą p. O., apostoł „nowych prawd,“ nawleka wszelkiego rodzaju koncepty, nieprzystojne szykany i wykrzyki. Zdaje się, że autor przed nami tańczy kozaka, podrzuca nogi w stronę swych przeciwników i pokazuje im karykaturalne miny. Jego odpowiedź ma się tak do artykułów *Gazety lekarskiej* lub *Zdrowia*, jak *Piękna Helena* do *Iliady*. Tę osobliwą rozprawę należałoby czytać przy muzyce Ofenbacha. Poważny artykuł *Zdrowia* nazywa się np. w tej naukowej operetce „kruciją d-ra Szumlańskiego;“ dr Goldflam, który wcale publicznie nie zabierał głosu i tylko w szpitalu kontrolował czarodziejstwa hypnotyzera — „rabinem dyagnostyki mimo swego charakteru nadetatowego w klinice chorób wewnętrznych“ (nawiasem zauważymy, że jeśli nadetatowość rozstrzyga o wartości lekarza, to chyba p. O., który po kilku próbach spadł z nadetatu w szpitalu, jeszcze mniejszą ma rangę), wszyscy „panowie szpitalni“ (z wyjątkiem profesorów, którzy otrzymują ukłony) porównani z uczestnikami szachrajskiej gry w „gęś.“ Czasami p. O. ubolewa nad nimi z litościwą wzgardą. „Ach, panie Szumlański! — woła. Żebyś pan wiedział, jak tego rodzaju zachowanie się wobec *prawd nowych* nie mnie, ale wam ubliża! Jakieście zmalelli w moich oczach (to najprzykrzejsze dla nich) od czasu, kiedy człowieka gotowego do wszelkich usług, do szczerej *pomocy w zapoznaniu was* z tą nową a pełną głębokich prawd dziedziną, przyjęliście z faryzeuszowską grzecznością i niską szykaną. I na co to? Czy przez to mnie choć odrobinę w opinii moich chorych i wogóle w opinii publicznej *uczciwych ludzi* zaszkodzicie?“

No, panie Ochorowicz, nie przejeżdżaj pan ze swą „nową prawdą“ tak daleko po za granicę niemowej, bo „uczciwi ludzie“ nie mieszczą się jedynie wśród chorych, którzy panu wierzą, i lekarzów, którzy panu pomagają. Sądzę nawet, że ich jest więcej po za temi dwoma kółkami.

Czy hypnotyzm i metaloterapia mogą być z powodzeniem stosowane w leczeniu chorób — nie rozstrzygam, bo się na tem nie znam, a wiedzy ludzkiej nie sypię kopców, nie grodzę płotów i nie kopię rowów. Czy sprawozdanie z prób szpitalnych jest ścisłem — nie wiem, bo w nich nie uczestniczyłem. To tylko widzę jasno, że szan. znachor grubo się myli, twierdząc, iż go „poczęła Minerwa.“ Chyba raczej Merkury. Odrzuciwszy wszystkie inne dowody, bądź przytoczone przez lekarzów, bądź roznoszone w skargach po mieście na balamuctwa czarodzieja, sam ton, sposób rozumowania, koncepty, drwiny i jakaś chorobliwa mania wielkości, połączona z dziecinną zarozumiałością artykułu w *Kuryerze warsz.* niczem nie zdradzają, że autor „skończył nauki przyrodnicze w jednym uniwersytecie, filozofię w drugim a wykładał przez sześć lat w trzecim.“ Coś mniej naukowego, coś bliższego Stańczykowi, niż Śniadeckiemu trudno sobie wyobrazić. Zdaje się, jak gdyby autor nie czytał nigdy poważnej książki i nie prowadził naukowego sporu, studyując wyłącznie filozofię „śmiałych, którym los sprzyja.“ Jeżeli więc jego „metoda“ zawiera istotnie „prawdy nowe,“ to będą one kiedyś przeklinać w nim swego niefortunnego apostoła. Gdyby dotąd sami Ochorowicze głosili system Kopernika, wierzylibyśmy w nieruchomość ziemi.

Jest to wysoce znamiennym rysem jego wystąpień, że on, jak Boulanger Izby deputowanych, unika towarzystw i organów naukowych, a ciągle odwołuje się do sądu ciemnych w tej sprawie mas. Ulubioną jego kazalnicą są pisma brukowe. Czy one słusznie robią, otwierając mu swe kolumny? Mojem zdaniem—nie. Tu bowiem spór ze względu na czytelników nie może być, a ze względu na „metodę“ p. O. nie będzie nigdy przeprowadzony poważnie i naukowo. Lekarze przemawiają w swoich wydawnictwach, czytanych przez szczupłą garstkę specyalistów; p. O. łży ich w dziennikach, czytanych przez tłumy, które nie słyszą całkowicie głosu przeciwnego a wszelkiemu znachorstwu ulegają łatwo. Oni przemawiają językiem wiedzy, on językiem agitacyi. Wymówka, że „z dyskusyi takiej i wzajemnej wymiany zdań tryśnie promyk światła, wyjaśniający najżywotniejsze zagadnienia nauki lekarskiej,“ jest naiwną, gdyż tu właściwie „żadnej dyskusyi i wzajemnej wymiany zdań“ nie ma a nadto chyba każdy przyzna, że pomimo całej użyteczności *Kuryerów*, nie w nich „wyjaśniają się najżywotniejsze zagadnienia nauki lekarskiej,“ jak nie w jatce odbywają się badania anatomiczne.

W tej gorszącej awanturze jest jeden szczegół pocieszający: p. Ochorowicz donosi, że niedługo opuszcza Warszawę. Wkrótce więc przestanie uszczęśliwiać chorych swoją „metodą,“ opartą niewzruszenie na przychylnem świadectwie kucharki Krawczyńskiej i trapić prasę rozdmuchiwaniem kurzu swych „prawd nowych.“ Bodajby to nastąpiło jaknajprędzej. Czarodziej zapewnia wprawdzie, że zniósł w lekarskiem gnieździe jajka, które się wylęgły, ale może to potomstwo będzie mniej natrętne, szkodne i krzykliwe.

Europejczycy, zwiedzający Warszawę, muszą niewątpliwie dziwić się, co znaczą tłumy ludzi wszelkiego stanu, cisnące się zapamiętale o tej porze do sklepów w kilku punktach miasta. Widziałem jedną z takich gromad: żebra zapaśników trzeszczą, usta dyszą niepokojem, oczy błyszczą gorączką. To gracze loteryjni zdobywają kantor. Jaka różnica! Bilety na loteryę saską, jedną z najzyskowniejszych, rochodzą się w Niemczech tak ociężale, że aż żydkowie przemycają je do nas i sprzedają kryjomo. Tymczasem u nas kartki fortuny są rozdrapywane w ciągu paru godzin. We wszystkiem, w całem życiu, loterya, nie praca, nie trzeźwa rachuba, jest podstawą naszego bytu. Gramy w polityce, gramy w sprawach ekonomicznych, gramy w wychowaniu — i ciągle tylko gramy. Doprawdy, często nie rozumiem: jakim cudem my jeszcze istniejemy na świecie?

Przepraszam szan. obywateli Kieleckiego za mimowolną, na błędnem doniesieniu innego pisma popełnioną omyłkę, według której posądziłem ich o wybranie chłopa Pełetki radcą Toworzystwa kredytowego. Był on bowiem tylko wyborcą, ucztował z panami, wznosił toasty, przemawiał, ale nie wszedł nawet do bocznej kaplicy Towarzystwa, do Dyrekcyi szczegółowej, gdzie nabożeństwo odprawia tylko szlachta. Karmazyny w grobach ze zgrozy się nie poruszą. Chłop już jest godzien zasiadać w parlamentach europejskich, ale u nas dość ofiary, gdy go (z musu!) tolerujemy na stanowisku wójta lub ławnika. Po za tymi urzędami niech służy, wypasa dworskie łąki, kradnie drzewo w lesie lub kłóci się o służebności — to jego przeznaczenie.

Więc Towarzystwo zawiera tylko panów „z towarzystwa“? Jak to dobrze...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasza płodność i fantazya w projektach. — Zabezpieczenie niezależności bezrolnym pracownikom. — Chciwość i zbrodnia. — Chłopska wstrzemięźliwość i bankructwo szynków. — Sądy polubowne u włościan. — Kolonie letnie dla dzieci radomskich. — Prowincyonalne szkoły muzyczne.

Czy na sto naszych projektów dziesięć w ciągu roku zwraca ogólną uwagę i wchodzi w życie — wątpię. Jednakże w tej powodzi błahostek są rzeczy bardzo ważne, które powinnyby przejść ze szpalt pism prowincyonalnych do poważnych gazet wielkomiejskich. O zabezpieczeniu bytu pracowników bezrolnych mówiono już wiele *), nawet nabrano pewnej wprawy w tym kierunku; ale nigdy jeszcze nie natrafiono na takie źródło, któreby mogło istotnie obmyć łzy biedakom oczekującym zmiłowania. Obecnie tą sprawą zajęły się aż trzy pisma naraz. *Kaliszanin* wychodząc z zasady, że aby coś osiągnąć, trzeba miłosierdzie połączyć z interesem własnym, rozwija w praktycznej formie swoje pomysły. Przedewszystkiem dzieli na dwie klasy biedne rodziny, stosownie do ich usposobień i zdolności. Między nimi są: byli właściciele folwarków, rządcy dóbr, ekonomowie, pisarze i inni oficyaliści dworscy, dalej wojskowi, urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy itp. Do kategoryi pierwszej mają należeć wszyscy ci, którzy dobrze się znają na gospodarstwie rolnem i mogą pracować z korzyścią dla samych siebie i kraju. Do drugiej — urzędnicy obarczeni licznem rodzeństwem, a mający liche zarobkowanie. Dla pierwszych dobrą byłaby taka pomoc: aby każdy większy właściciel ziemski, posiadający przypuszczalnie włók 40, bardziej odległe od folwarków kawałki gruntu ustąpił na rzecz ubogich rodzin na następujących warunkach: Najpierw posiadacz powinien taką rolę oszacować stosownie do jej wartości, ze względu, iż jako odsunięta, nie może być dobrze uprawiana, ani dopilnowana, a więc jej cena szacunkowa powinna być przynaj-

*) Szczegółowy projekt ubezpieczenia bytu służby folwarcznej na starość podaliśmy w nr. 43 *Prawdy* z r. z. Naturalnie nikt na niego nie zwrócił uwagi, bo wtedy przygotowywaliśmy dywan dla biednego Leona XIII. *Red.*

mniej o $^1/_3$ niższą od wartości ziemi w dogodniejszych warunkach. Jeżeli grunt przy folwarku wart w przybliżeniu po 1,500 rs. włóka, to przy końcu pól od granicy można bez straty przyjąć 1,000 rs. Każda rodzina powinna otrzymać przeciętnie trzy włóki. Zatem sumę 3,000 rs. należałoby rozłożyć na raty do spłacenia w ciągu lat dwudziestu wraz z odsetkami po 5%. Następnie wyrobić w okolicy kredyt dla nabywcy w gotowiźnie lub materyałach, na zaprowadzenie budynków, inwentarzy i zasiewów, także z rozłożeniem na raty. Zasiewy mogą być zaprowadzone sposobem prostej pożyczki potrzebnej ilości ziarna ze zwrotem po sprzęcie. Zanim nabywca będzie się mógł zagospodarzyć na osadzie, trzeba mu pozostawić ulgę, aby przynajmniej przez pierwsze trzy lata nie płacił rat szacunkowych. Po urządzeniu posiadłość powinna być hypotecznie uregulowaną na imię posiadacza z zastrzeżeniem, że nie może obciążać osady żadnymi, oprócz powyższych, długami, aż do spłacenia wszystkich rat. W razie niedbalstwa lub nieuczciwości nabywcy, posiadłość za zwrotem opłaconych rat może być odebraną dla oddania komu innemu na takich samych warunkach.

Sądzę, iż wszyscy rozsądni właściciele ziemscy powinni poprzeć czynem ten projekt, tem bardziej, że robiąc dogodność innym, sami nic nie ryzykują, ale jeszcze mogą mieć zysk. Słusznie wnioskodawca zwraca uwagę, że jeśli obecnie położenie rolników nie zmieni się, to za lat dwadzieścia większa część majątków przejdzie w obce ręce. Przez urządzenie zaś powyższych osad, zabezpieczy się byt kilku tysiącom biednych rodzin. Prawdopodobnie w każdej gminie znajdzie się najmniej pięć większych posiadłości, gdzieby można utworzyć takie osady, a więc we wszystkich 1,351 gminach Królestwa Polskiego powstałoby 6,755 drobnych posiadłości, zapewniających utrzymanie około 50,000 ludzi, licząc członków rodziny i służbę.

Na tych samych zasadach *Kaliszanin* zaleca pomoc rodzinom „drugiej kategoryi.“ W każdem większem mieście powiatowem lub gubernialnem, potrzeba zakupić po kilkanaście morgów ziemi, podzielić je na równe części, pobudować parterowe domki i rozdać je biednym urzędnikom lub robotnikom na wypłatę. Warunki: nabywca urzędnik powinien być krajowcem, człowiekiem moralnym, trzeźwym, pracowitym i uczciwym. Pierwszeństwo należy się obarczonym licznem rodzeństwem i pobierającym mniej niż 300 rubli rocznej pensyi; w razie braku kandydatów mogą być tacy, którzy pobierają od 300 do 400 rs. pensyi. Rzemieślnik powinien odpowiadać tymże samym moralnym warunkom, a ponieważ żadnej nie pobiera pensyi, musi w zamian przedstawić świadectwo z cechu, iż rzemiosło swoje zna i wykonywa dokładnie. Wybranym kandydatom należy rozdać osady sposobem losowania.

Taka jest osnowa szerokiego projektu *Kaliszanina*. Być może, iż się znajdą tam usterki, że w praktycznem zastosowaniu zajdzie wiele trudności, ale myśl ta, bądź co bądź, warta jest zaszczepienia na wyniszczonym gruncie szlacheckim. Wiadomo, że posiadacze małorolni w przeważnej większości namiętnie są przywiązani do swych sched. Tacy więc nowonabywcy, którym po długoletniej zależności nadarza się sposobność osiągnięcia samodzielnego bytu, wszystkie siły będą wytężali w kierunku wzmocnienia swych posiadłości.

Złe, gdy żądza ziemi przechodzi w szał. Taki znamienny rys cechuje naszych włościan. W okolicy Uniejowa chłop ze wsi Pieńki-Wolskie, Józef Sikora, któremu rodzice zapisali swój majątek z warunkiem spłaty niewielkiej kwoty córce, dopuścił się w tych dniach strasznej zbrodni. Wsypał do strawy matki i siostry sporą dozę arszeniku. Pierwszą uratowano, druga zmarła. Zbrodniarz, przyznawszy się do winy, prosił, aby mu rodzice przebaczyli; matce nic już nie będzie, bo żyje — twierdził — siostrze także nic, bo już umarła, a rodzicom co z tego, że on pójdzie do „festunku.“

Na szczęście takie wypadki nie są dość częste, a natomiast dodatnie cechy śród włościan w tych czasach bardziej się zaznaczyły, niż kiedykolwiek. W miasteczku Garwolinie (gub. siedlecka) składy wódek i spirytusu bankrutują powoli, dzięki temu, że włościanie okoliczni pod wpływem duchowieństwa — jak *Zorza* utrzymuje — wzięli rozbrat z alkoholem. W gminie Krzynowłoga Mała (Przasnyskie), lud tylko myślał o włóczeniu się po sądach, a pokątnego doradcę, tam zamieszkującego, miał za dobroczyńcę. Teraz uradzono tam wszelkie zatargi rozstrzygać sądem polubownym, złożonym ze starszych, szanowanych i doświadczonych gospodarzy. Pożądanem byłoby jaknajszersze rozpowszechnienie tego zwyczaju. Ci, co mają często styczność z ludem (szlachta i duchowieństwo), jeśli im braknie bodźca wewnętrznego do prostowania wszelkiej koszlawizny, powinni się rozglądać zewnątrz, prowadzić statystykę „pomyślnych rezultatów“ i na jej podstawie zaszczepiać wokoło siebie to, co się gdzieindziej przyjęło. Tym sposobem nawet apatyczni, o leniwych umysłach, niewiele górujących nad ciemnymi, mogliby na tych ostatnich korzystnie wpływać.

Rzecz stała się niezwykła: sadzonka, przeniesiona z gruntu warszawskiego na radomski, bez cieplarni, długich zabiegów i pielęgnowania, przyjęła się doskonale i już zaczęła odrośle puszczać. Poruszona w piśmie miejscowem myśl utworzenia kolonij letnich dla biednych i słabowitych dzieci Radomia, przyobleka się w ciało, dzięki usilności p. Józefa Helbicha i poparciu ogółu. W przeszłym tygodniu na wielkiej naradzie, w której i kobiety brały udział, postanowiono jeszcze w lecie bieżącem wysłać na wieś gromadę dzieci. Kilku lekarzy przyjęło obowiązek oglądania kandydatów. Oprócz składek publicznych postanowiono na ten cel dać koncert.

Nowe projekty nie powinny przekraczać granic logiki i wchodzić w manię. *Gazeta radomska* w ostatnim numerze wystąpiła z wnioskiem utworzenia prowincyonalnych szkół muzycznych dla wyparcia „fuszerów,“ tanio uczących gry fortepianowej lub skrzypcowej. Wygląda to tak, jakbyśmy chcieli wykładać algebrę tym, co nie mają pojęcia o cyfrach. Należałoby wprzód pomyśleć o utworzeniu niezbędnej liczby szkółek elementarnych i o dostarczeniu im dobrych nauczycieli. Że zaś wiejskie „dzierlatki“ nie będą mogły według wszelkich zasad grać smętnych walców i nie wyrobią w sobie zmysłu krytycznego przy sądzeniu gry innych, na tem ani one same, ani kraj cały nie ucierpią wiele. Co zaś do nauczycieli muzyki, to zdaje mi się Konserwatoryum warszawskie aż nadto może ich dostarczyć dla całego Królestwa. Coby zrobili wychowańcy prowincyonalnych zakładów tego rodzaju, skoro tutejsi szukają zarobku na estradach... knajpianych.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bank włościański. Przy rozszerzeniu jego działalności na Królestwo Polskie, pożyczki będą udzielane tylko włościanom osobiście trudniącym się rolnictwem. Z pomocy bankowej nie będą jednak korzystać żydzi, nawet władający ziemią na mocy ukazu nadawczego, a przez to dopuszczeni do przywilejów stanu włościańskiego i koloniści zagraniczni, chociażby przyjęli poddaństwo ruskie i stosownie do art. 9 prawa cywilnego z r. 1825 zaliczeni byli do narodowości polskiej. Połączone departamenty Rady państwa rozstrzygnęły także pytanie, o ile Bank włościański w niektórych miejscowościach Królestwa winien się rządzić odrębnymi przepisami i działać w widokach rządu. Postanowiono, iż nie rozwiązuje on kwestyj, niewchodzących w zakres jego bezpośredniej działalności, jako instytucyi finansowej. Ze względu jednak, iż w niektórych powiatach gub. siedleckiej i lubelskiej parcelacya większej własności mogłaby spowodować znaczny napływ ludności inowierczej, co nie leży w zamiarach rządu, Rada państwa, przychylając się do żądania warszawskiego general-gubernatora, postanowiła, aby kandydaci do pożyczek bankowych w całym kraju uzyskiwali od komisarzy włościańskich świadectwa kwalifikacyjne, wydawane na mocy osobnych instrukcyj naczelnika kraju.

Nieruchomości. W sprawie lustracyi nieruchomości w celach opodatkowania zaszła obecnie dość ważna zmiana. Mianowicie te domy, które były wybudowane w czasie pięciolecia pomiędzy jedną a drugą lustracyą i nie są opodatkowane, będą zaraz po ich odbudowaniu oszacowane i do opłat pociągnięte. Natomiast nieruchomości, które w powyższym peryodzie przestały z jakiegobądź powodu przynosić dochód, podatek jednak opłacono aż do nowej lustracyi, mają być teraz wykreślone z kontroli po udowodnieniu, iż dochodu nie przynoszą. Wskutek powyższej zmiany, postanowionej już i moc prawną mającej, podatki z nieruchomości ściśle regulowane będą w każdej posesyi według dochodu.

Kijowskie Towarzystwo rolnicze ogłasza, iż do Australii, gdzie jeden z polskich plantatorów, p. Sulima, urządza cukrownie, potrzebni są: mechanik i dwóch pomocników dyrektora. Pensye są po 200 funt. ster. (około 2.000 rubli). Prócz tego pożądani są robotnicy na posady z pensyą po 60 f. st.

W Dynaburgu na stacyi kolei żelaznej pociąg osobowy starł się z manewrującym parowozem. Jeden podróżny zabity, ośmiu rannych.

Przeciw niewolnictwu. Kardynał Lavigerie, arcybiskup Algieru i Kartaginy, bawi obecnie w Paryżu, gdzie miał w kościele św. Sulpicyusza odczyt, w którym postawił plan wyprawy krzyżowej przeciw niewolnictwu na Wschodzie. On sam chce być jej apostołem, nawoływać do niej, gdzie tylko będzie mógł i spodziewa się, iż najpierwej podążą rycerze zakonu Maltańskiego. Zapewne!

Kopalnie złota niesłychanej obfitości odkryto jakoby w zachodniej Australii. Ruda, jak się pokazało po analizie, zawiera przeciętnie 27 uncyj złota na tonnę. Całą okolicę, zawierającą złotodajne żyły, nabyli bogaci kupcy z Melbourne.

Olbrzymi globus, dla którego wzniesiony będzie osobny budynek, postanowili zrobić na przyszłoroczną wystawę paryską pp. Willard i Chotard. Ponieważ ziemia ma 40 milionów metrów obwodu, przeto globus będzie liczył 40 metrów obw. i 13 średnicy. Wielkie miasta, jak Paryż, Berlin, zajmą około jednego kwadratowego centymetra. Kula, podobnie jak ziemia, obracać się będzie raz na 24 godzin za pomocą odpowiedniego mechanizmu.

W Kalwaryi, gub. suwalskiej, odbyła się wystawa koni włościańskich i roboczych. Nagród rozdano dwanaście.

W Hadze odbył się niedawno ciekawy wypadek zastosowania hypnotyzmu do chirurgii, jak donosi *Lütt. Jour.* W szpitalu miejscowym dokonano ciężkiej operacyi. Ponieważ stan chorego nie pozwalał na chloroformowanie, a wstrzyknięcie kokainy nie wystarczało, przeto lekarze van Wely, Kurtzweg i van Praag-Hegmans, sławni chirurgowie, postanowili zastosować hypnotyzm i wezwali w tym celu specyalistę dr. de Jong. Ten ostatni wmówił pacyentowi, że nie będzie czuł bólu i zahypnotyzował go. Operacya trwała godzinę; chory, chociaż wiedział, co się z nim dzieje, nie czuł żadnych cierpień.

Połączenie murza Azowskiego z Czarnem za pomocą kanału Perekopskiego przychodzi do skutku. Inicyatorowie tego projektu zawarli już układ z kapitalistami francuzkimi i podpisali kontrakt o roboty ze znanym inżenierem francuskim Hersenetem, wykonawcą robót około kanału Suezkiego. Szczegółowe plany, kosztorysy i warunki realizacyi kapitału są już przejrzane przez ministra komunikacyi i wkrótce mają być złożone komitetowi ministrów do zatwierdzenia.

Volapük przybył jeszcze jeden, utworzony przez p. Melville-Bell pod nazwą *World Englisch*, czyli język angielski powszechny.

Powinność wojskowa. Ogłoszono następującą opinię Rady państwa. Ogólny termin służby dla wstępujących do niej z losowania oznacza się na osiemnaście lat, z których pięć w służbie czynnej, a trzynaście w zapasie. Ci, którzy ukończyli zakłady drugiej kategoryi, sześć klas gimnazyów realnych, lub szkół, albo drugiej kategoryi seminaryów duchownych, pozostają w służbie czynnej dwa lata, a w zapasie armii szesnaście. Ci, co ukończyli zakłady naukowe trzeciej kategoryi, pozostają w służbie czynnej trzy lata, a w zapasie armii piętnaście. Posiadający świadectwa ze znajomości kursu szkół elementarnych, albo innych zakładów czwartej kategoryi, przy przeznaczeniu ich do wojsk lądowych pozostają w służbie czynnej cztery lata, a w zapasie armii czternaście; przy przeznaczeniu zaś do floty, przebywają w służbie czynnej sześć lat i w zapasie floty cztery. Wolni są od służby wojskowej w czasie pokoju i zaliczają się do zapasu armii na osiemnaście lat mający stopnie doktora medycyny lub lekarza, magistra farmacyi, albo weterynarza, pensyonarze Cesarskiej Akademii sztuk pięknych wysłani za granicę kosztem skarbu, wykładający w zakładach naukowych, wymienionych w dodatku do art. 53-go i w rządowych niewymienionych, etatowi guwernerowie i etatowi pomocnicy w zakładach naukowych, nadzorcy przy seminaryach duchownych i szkołach.

Komisyę wyznaczono z przedstawicieli różnych ministeryów, która się zajmie wyznaczeniem miejsc odpowiednich do zakładania szkół przemysłowych, określeniem specyalności każdej z nich, ułożeniem etatów i opracowaniem wewnętrznych instrukcyj dla owych zakładów.

Węgiel kamienny. W Dobryczynie, nieopodal od Wisły, odkryto pokłady węgla kamiennego.

— W porzeczu Leny i Wiluju odkryto pokłady węgla kamiennego i próbki jego przesłano ministeryum dóbr państwa do zbadania.

Szkoła rysunków. P. Marya Szmurło otrzymała od okręgu naukowego pozwolenie na otwarcie szkoły rysunków w Warszawie.

Kontrolerem państwowym na kolejach Terespolskiej, Nadwiślańskiej i Bydgoskiej mianowany został p. Aszyk, dotychczasowy kontroler drogi Uralskiej. Kontrola państwowa na drogach żelaznych Królestwa Polskiego wejdzie w życie od dnia 13 sierpnia b. r.

Szkoły. Dzienniki petersburskie zawiadamiają, iż z d. 1 sierpnia (st. s.) upływa termin, do którego winny być podane prośby od osób pragnących wstąpić do szkoły technicznej zarządu pocztowo-telegraficznego w Petersburgu.

Wynalazek. P. Witold Zdanowicz, technik, wynalazł aparat elektryczny, ostrzegający przed złodziejami. Albo to prawda!

Jedwabnictwo. W pięciu szkołach elementarnych w pow. kijowskim zaprowadzono wykład hodowli jedwabników.

Dom sierot. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę dla domu sierot po robotnikach warszawskich z tem zastrzeżeniem, aby założyciele Leon i Seweryn bar. Lanwalowie przed otworzeniem zakładu złożyli w Radzie miejskiej dobroczynności publicznej akta rejentalne zrobionych przez nich zapisów na korzyść tej instytucyi.

Pensyonaty. Zawarte w ostatnim numerze Zbioru praw i postanowień rządowych rozporządzenie upoważnia do otwierania przy gimnazyach, progimnazyach i szkołach realnych okręgu naukowego warszawskiego pensyonatów na ogólnych zasadach w tym przedmiocie. Wydatki na otwarcie i urządzenie mają być pokrywane z opłat od pensyonarzy, a w razie gdyby te nie wystarczały, z opłat za prawo uczenia się. Wysokość opłat od pensyonarzów na mocy przedstawienia komitetu gospodarczego oznacza kurator okręgu naukowego. Opłata ustanawia się na trzy lata na zasadzie etatu sporządzonego przez komitet gospodarczy. Postanowienie co do liczby pensyonarzów zależy od lokalu, a wydaje je kurator. Przy pensyonatach będą inspektorowie. Połowa ich płacy (po 1,000 rs.) ma być pokrywana ze specyalnych funduszów zakładu. Osoby, zajmujące posady i spełniające obowiązki w pensyonatach, używają praw i przywilejów służbowych okręgu naukowego.

Konkurs. Rada administracyjna szkoły polskiej w Paryżu na Batignolles, a zarazem fundacyi Seweryna Gałęzowskiego im. Śniadeckich, zawiadomiła Akademię umiejętności, iż na r. 1888/9 ma fundusz na stypendyum dodatkowe w kwocie 2,000 franków. Dotychczas stypendyum to, niestałe i warunkami fundacyi nieobjęte, nadawane było zawsze kandydatom poświęcającym się naukom humanistycznym. Rada administracyjna wyraża życzenia, aby w tym roku nadanem było docentowi oddającemu się studyom nad literaturą ojczystą przy jednym z uniwersytetów krajowych.

W Pensylwanii i Wirginii straszne wylewy wód wyrządziły znaczne szkody. Wielu ludzi zginęło.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ofiary, przesłane do redakcyi naszej dla powodzian i pogorzelców, złożyliśmy w kantorze bankierskim Goldstanda, który jest kasyerem komitetu ratunkowego.

Ogłoszenia.

K. LEWALD

HISTORYA XIX w.

od r. 1800 do 1888.

stronic 634

Cena rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 kop. 60.

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Dla czytelników gazet politycznych

Wyszło z druku i jest do nabycia dzieło prof. A. OKOLSKIEGO

Ustrój Państw Europejskich

i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Cena rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 30.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr: Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Kramsztyk Stanisław: O postaci i ciężarze ziemi, str. 93, kop. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Szkice i Obrazki, tomów **cztery** z portretem autora. Cena rs. 5. W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław: Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66, kop. 60.

Spencer Herbert: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310, rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274. Cena rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Wydawnictwa „Prawdy."

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**
Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50
„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50
„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ –

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs.

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.
Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.
Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**
Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.
Cena (w oprawie) . . . . . rs. 2 k. –
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.
Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności
Cena . . . . rs. 4 k. –
„ dla abonentow *Prawdy* „ 3 „ –
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50
Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ –

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka. Błazen, Za maską) . „ 1 „ –

11) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

13) — **Niewinni**, dramat w 3 aktach kop. 80 z przesyłką rs. 1

14) Dr Azam: **Charakter w zdrowiu i w chorobie** . . . . rs. 1

15) N. Hirszband: **Byron** w urywkach rs. 20, z przesyłką rs. 1 kop. 25

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Іюля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.